Wł. Kulczycki

CEZAR POLEWKA

IXION.

Ὡς θεῖα ὀνείρατα ἐπιστάντα ἐγρηγορόσιν.

Jako boskie sny ku nauce czuwających.

Platon.

NAKŁADEM AUTORA

IXION.

Do najpiękniejszej z tegoczesnych kobiet

Hrabiny Anniny Morosini.

Pani Hrabino,

Otrzymałem fotografją Pani, którą przysłać mi raczyłaś na ręce kuzyna swego, zacnego a drogiego mi hrabiego Alwiza III. Moceniga. — Stary Horacy powiedział: ut pictura poesis; — a więc poeci dzieląc z malarzami nieporównany przywilej odbierania podobnych darów, mają większy jeszcze od nich obowiązek serdecznéj wdzięczności. Jakżeż wysłowić potrafię tę, jaką mię przysłany skarb dozgonnie napełnił? Starannie ujęty w złote ramy, będzie stał zawsze przedemną na moim biórku, jako czarowne źródło natchnienia, jako jeden z najidealniejszych, a iście fenomenalnych, olśniewających objawów nadziemskiego piękna na tym świecie! — Teraz to pojmuję całą trafność orzeczenia, jakiém Panią świeżo uczciły usta monarsze: »iż chyba we śnie a nie na jawie można oglądać równie bajeczną piękność.«

Ażeby się więc odwdzięczyć za tak królewski upominek, pozwól, o piękna nad pięknemi! obcemu piewcy przypisać Tobie nową pieśń swoją. Jakieś przeczucie kazało mi było pierwszą stronicę rękopismu, stronicę poświęceń, próżną pozostawić: — a oto wizerunek Twój, o czarodziejko! sam nią owładnął znienacka. Ixion ujrzawszy ono cudo zapragnął próżnią swego pamiętnika zapełnić Twém imieniem i nazwiskiem: imieniem nowego przeobrażenia swojéj Bezimiennéj, przesławném nazwiskiem wielkiego Doży zdobywcy Peleponezu i sprzymierzeńca Króla mojego Jana III. Sobieskiego, co w Tobie ćmi własny blask dziejowy promienicą niewidzianéj urody. Poeta zaś, znając szlachetną Twą miłość dla Polski, jéj dziejów, jéj języka i piśmiennictwa, nie może się już dłużéj opierać dla swojskich czysto względów téj Ixiona zachciance...

Niektórzy, co urywki z pieśni téj słyszeli, raczą twierdzić, że może nieskona. Jeżeli więc w rzeczy saméj żyć będzie, — to niech imię Twoje, Pani! świeci jéj na czole na wzór gwiazdy nieśmiertelnych duchów, i niech ją prowadzi z pod włoskiego nieba w polską oswobodzoną przyszłość!

Racz przyjąć Pani Hrabino hołd nieskończonéj méj wdzięczności i uwielbienia, jakiego widok ziemskich istot nie zwykł obudzać, a jakiém przejęty jest dla Pani

najniższy i wierny sługa

Autor.

OBJAŚNIENIE.

OBJAŚNIENIE.

Niniejszy poemat osnuty jest na tle mitu greckiego, o ile ten, na wzór wielu innych nieśmiertelnej Hellady podań, uosabia i uplastycznia powszechną ideę i nigdy nieprzedawnioną prawdę. — Wiadoma jest owa starożytna baśń czyli niezwiędły kwiat usymbolizowanéj idei pod gęstém liściem postronnych naleciałości: Ixion, syn Leonta podług Hygina, Flegjasza podług Euripida, król Lapitów i Ancjonu podług Eschyla, poślubił Klią córkę Dejoneja, ale nie złożył temu ostatniemu darów obiecanych za to małżeństwo. Obrażony Dejonej, chcąc go zniewolić do uiszczenia się, zabrał mu konie. Ixion zaś, żywiąc głębszą jeszcze urazę i niechęć do swego teścia, zaprosił go na ucztę, a na wety kazał wrzucić w rów ognisty, gdzie nieszczęsny Dejonej zginął okropną śmiercią.

Szkaradna ta zdrada przeraziła i oburzyła wszystkich. Ixion nie mógł trafić na nikogo, ktoby mu rękę podał, i zmuszony był tułać się samopas po świecie, wzgardzony i wyklęty przez ludzkość całą. Nie znajdując więc przytułku u ludzi, udał się

do bogów, i umiał tak zręcznie przebłagać i ująć sobie Zeusa, iż ten go przyjął wspaniałomyślnie do nieba i posadził u własnego stołu.

Nieszczery pokutnik ulegając jednak znowu przewrotnym swym skłonnościom, odpłacił dobroczyńcy swemu czarną niewdzięcznością, albowiem olśnion nadziemską urodą Hery czyli Junony, chciał ją uwieść i wyznał jéj swą namiętność i występne zamysły. Surowa bogini, obrażona zuchwalstwem tego śmiertelnika, poskarżyła się nań nieśmiertelnemu swemu małżonkowi, który zamiast się gniewać, zadrwił sobie z tych zalotów, i na naznaczoną przez śmiałka schadzkę przysłał chmurkę mającą lice i podobieństwo Hery, a zwaną z grecka Nefelą. Ixion, oszukany tą nibywodzią, wziął widmo za rzeczywistość i pochwycił je w swe objęcia. Z tego stosunku człowieka z marą nieprzebrana w płodności Hellada wywodziła plemię chłopokoni czyli centaurów.

Wielkoduszny zawsze Zeus, uważając Ixiona za biednego szaleńca obłąkanego nektarem wypitym u stołu bogów, ograniczył się zrazu na wypędzeniu go z Olimpu; ale słysząc jego przechwałki i nieprzyzwoite chełpienie się na ziemi z mniemanych w niebie miłośnych przygód, trzasnął go nareszcie piorunem, albowiem kto raz ucztował z bogami i skosztował ich nektaru, stawał się na pół nieśmiertelnym, i już tylko od piorunu mógł zginąć.

Strąconego w głąb' Tartaru winowajcę Hermes z rozkazu swego rodzica przywiązał do koła opleционego wężami, które Ixion za karę musiał bezustannie obracać. Dopiero zstąpienie Persefony czyli Prozerpiny do piekieł sprawiło, że po raz pierwszy odwiązano potępieńca od straszliwéj osi, a Wirgiljusz dodaje, że lutnia Orfeusza, wyczarowując dźwięki swemi Eurydykę z otchłani, wstrzymała też chwilowo wiekuisty obrót Ixionowego koła.

Ixion zaś, który na tych stronicach przed czytelnikiem staje, późniejszy jest od zwyż pomienionego o całą odstań teraźniejszości od greckiéj teogonji; ale na wzór dawniejszego swego imiennika czyli też sobowtóru, symbolizuje także wieczną pogoń ducha ludzkiego za ideałem, który w różne kolejno wcielając się postacie, znika ciągle jak chmurka w uścisku, co go ująć i przytulić usiłuje. Obiegając atoli cały cykl przemian i przeobrażeń, nie wątleje i nie odkształca się na wieki, lecz owszem potęguje się, doskonali i rozszerza podług teorji boskiego Platona, szczebluje po rozwiewnych kształtach i znikomych jednostkach aż do źródła i istoty najwyższego piękna, dopóki wreszcie przed ostatecznym powrotem na łono boże, gdzie tkwią nieśmiertelnie pierwiastki idei i pierwowzory kształtów, nie stanie się w obecnym poemacie uosobieniem straconéj ojczyzny, — najwyższéj, najdoskonalszéj z ziemskich miłości, poprze-

dzającéj bezpośrednio miłość boską, i dopóki ta ostatnia i najidealniejsza kochanka nie streści w sobie wszystkich poprzednich kochanek spotykanych po drodze żywota, i nie okaże się jedynie rzeczywistą.

Ixion ten zatém jest w szerszém swojém znaczeniu wyzyskaniem mitu greckiego i starodawnéj nauki Platona przez polski patryotyzm; w ściślejszém zaś jest to poemat podmiotowy, symboliczny i przedewszystkiém filozoficzny; djarjusz duszy łaknącéj piękna i miłości; są to na tle idealném prawdziwe i bynajmniéj niebajeczne wspomnienia naszego współczesnika w kilku jakoby odsłonach, w kilku z jego pamiętników urywkach.

Poemat ten przed dziesięcią laty zaczęty, a potém pszerwany dla innych prac i porzucony przez czas długi, nie byłby zapewne nigdy dośpiewanym do końca, gdyby nie traf szczególniejszy:

Mój dawny i nieodżałowany przyjaciel Franciszek Liszt, który mię znał od mego dzieciństwa w naszym kraju, prosił mię na parę lat przed śmiercią, abym mu przeczytał prolog i pierwszą część Ixiona. Rozumiał on bowiem wybornie polski język, chociaż nim mówić nie miał zwyczaju, nauczywszy się go gruntownie w towarzystwie ś. p. księżny Karoliny z Iwanowskich Wittgensteinowéj, która od 1845 roku taki wpływ wywierała na jego życie, oraz wielu Polaków, z którymi ciągle obco-

wał. Jako węgierski patryota, miłował też serdecznie Polskę, czytał siła polskich dzieł, i był zapalonym wielbicielem naszéj poezji, którą poczytywał za najpierwszą w XIX. wieku, nawet obok Byrona, Goethego i Wiktora Hugo, i za jedynie idealną w teraźniejszéj epoce.

Liszt zwykł był bawić corocznie przez kilka tygodni w Tivoli, starożytnym Tyburze, pod Rzymem, u kardynała Gustawa Hohenlohego, w historycznéj willi książąt Esteńskich, gdzie gościli i śpiewali niegdyś Ariost i Torkwato Tasso. — Owszem wszystkie pamiętne literackie i artystyczne postacie wieku Odrodzenia przesuwały się jak w czarnoksiężkiéj latarni przez sale tego ogromnego pałacu, na tle tych zaczarowanych ogrodów i jedynego majestatem i kolorytem krajobrazu kampanji rzymskiéj, naprzeciwko świątyni wieszczéj sybilli i pamiątek Horacego, Propercjusza i Katulla.

Odwiedzałem tam często wielkiego węgierskiego mistrza, i przeto czyniąc zadość jego życzeniu, wziąłem razu jednego z sobą gotową część mego utworu. Kiedy przybyłem do willi, dzień się miał ku końcowi. Liszt i ja byliśmy sami w jednéj z przestronnych pałacowych komnat. Podczas mego odczytu słońce zaglądając do niéj ukośnym promieniem, zachodziło za olbrzymiemi cyprysami sadzonemi jeszcze przez Ariosta, i wedle ślicznego orzeczenia Chateaubriand'a, układało się do snu na

widnokręgu rzymskim pod rozpiętą purpurą Cezarów. Nic dorównać nie mogło uroczystości milczenia, co nas otaczało, urokowi wywołanych zbliżaniem się szaréj godziny wspomnień sybilli i całego sejmu poetów, wspaniałości i malowniczości tego zachodu.

Liszt słuchał mię uważnie i w skupieniu ducha, niektóre wiersze powtarzać sobie kazał, a dowiedziawszy się odemnie, że następna część poematu, którego zarys ogólny pobieżnie mu skreśliłem, snuć się miała w Grecji, ale że się wahałem z pisaniem dalszego ciągu méj pieśni, zbliżył się do mnie, i ująwszy mię za obie dłonie, zawołał z nadzwyczajną żywością:

»— Nie porzucaj, proszę cię i zaklinam, nie porzucaj tego, coś zaczął! Niepowinieneś i nie godzi się. Polot ducha znacznie się obniżył, — i to wszędzie, — w naszym czasie. Podmuch materjalnego realizmu i uczonego zeźwierzęcenia zgasił prawdziwą poezją tak jak dawne przedziwne rycerstwo. Pojedynczy odchrześcianiony i znikczemniały człowiek goni już tylko za rozkoszą, bogactwem i władzą, a zbiorowy zwany wolnomyślną demokracją zna tylko własne prawa. Obaj zaś zapomnieli o obowiązku, ofierze i nieśmiertelności. Jestto między innemi przyczynami skutek rozbioru Polski, który uprawnił kłamstwo w Europie i stworzył tymczasowość. Rozumiesz mię... Trzeba nam

więc koniecznie, nam średniowiecznym błędnym rycerzom ideału, wrócić na wysokości duchowe śladem wielkich naszych poprzedników, rozdmuchać na nowo przygasły znicz świętych idei, i rzesze poprowadzić za sobą... Daléj tedy w górę, przyjacielu!«...

Tutaj dodał wyrazy, których mi powtórzyć nie wypada, a potem dorzucił:

»— Czytałeś mi prolog i pierwszą część Ixiona: ja zaś na podziękowanie postaram się przetłómaczyć je na mój język, i powtórzyć ci to, co oblubienica twego bohatera grała w Polsce na swojéj harfje... Oto jestem jakoś w stosie, a ta słoneczna glorja za temi cyprysami piewcy Orlanda podwoiła wrażenie poezji«...

Mówiąc to, usiadł do fortepianu w nadzwyczajném podniesieniu ducha, w prawdziwie uroczystéj chwili natchnienia, i począł improwizować w ciszy wieczornéj Esteńskiéj willi i ustroni starożytnych i nowoczesnych poetów, w łunie prześwietnego zachodu, która lekko rumieniła długą, śnieżną jego czupryny, i zdała się go wieńczyć różami jak rzymskiego biesiadnika. Improwizacja ta, któréj niestety! nikt nie zapisał, nikt nawet oprócz mnie i starego sługi zachwycić uchem nie zdołał, była przecudną, niezrównaną, iście niebotyczną. Słyszałem wielokrotnie improwizującego Liszta, ale tak grającego nie słyszałem nigdy, i takiéj muzyki na

tym płaczu padole już więcej zapewne nie usłyszę. W improwizacji tej, która trwała przez całą niemal godzinę, odgadłem, poznałem, odczułem cały ciąg odczytanego przezemnie poematu, ujrzałem niejako niebiańskie onego przemienienie. Wiersze moje przeobraziły się jak uwielbiona dusza, i wyzuwszy się z powłoki słów ziemskich, promieniły się świetelnie i czarodziejsko w ubłogosławionem ciele dźwięków. Byłem oczarowany, olśniony, rozczulony aż do łez, i chciało mi się prawie uklęknąć przed niezrównanym mistrzem, przed najpotężniejszym władcą tonów, jaki kiedykolwiek istniał...

W tem cudotworca przerwał grę, i zwracając się ku mnie rzekł: »— Byliśmy w Polsce, a teraz pierwszy, torując ci drogę, pójdę do Hellady, którą znasz, byleś poszedł a raczej wrócił tam za mną, i poematu nie porzucał. Zagram ci więc na lutni Orfeusza pod warunkiem, że mi przyrzeczesz być nawzajem moim tłómaczem, tak jak ja byłem twoim«...

I grał dalej porywająco, bezprzykładnie... Usłyszałem naprawdę tę starożytną formingę, co lasy i skały pociągała za sobą... Potém takt czarownej harmonji przyspieszył się, znaglił, zmieniła się cała, i jak szeroko rozlana struga spłynęła w potoczysty i rwący strumień pieśni legjonów: J e s z c z e P o l s k a n i e z g i n ę ł a! Była to niby improwizacja Jankiela, ale trzeba było chyba Ada-

ma, aby ją godnie przyoblec w poezji szatę... Boska ta gra wprowadziła mię do wnętrza mego własnego pomysłu, wtajemniczyła w jego głąb'; odczułem w niéj wyraźnie i ujrzałem w duchu wielkiego artysty jak w nadziemskiém źwierciedle to, co przeczuwałem dotąd mglisto we własnym... Niestety! nieudolność moja nie potrafiła należycie dotrzymać obietnicy i przełożyć na wiązaną mowę improwizacji Liszta, tak jak on moję poezją na muzykę tłómaczył; ale cofać już nie mogłem danego słowa, i oto dlaczego Ixion doczekał się dalszego ciągu i końca, i staje dziś jak anachronizm na moralnie podupadłéj, niezgodnéj z sobą i odwykłéj od swego nastroju widowni.

Powtarzam, że wspomnienia zapisane i osoby występujące w Ixionie nie są wcale urojone i bajeczne, lecz owszem w fantastyczném swém oświetleniu prawdziwe.

Sam chłopakiem będąc poznałem na Podolu, w pałacu przyjaciół i sąsiadów naszych, dziada pasiecznika imieniem Semen, liczącego wtedy, kiedym go widział, sto dwudziesty pierwszy rok żywota. Zdrów był jednak i czerstwy, bo mieszkał od pół wieku w głębi wielkich lasów, zkąd go sprowadzono umyślnie, aby mi go pokazać. Postać jego była malowniczą, a brwi odgarnięte ku skroniom jak dwie firanki mieszały się z brodą, któréj mleczna białość złocić się tu owdzie poczynała,

odkąd Semen, jak się wyrażał, przekroczył był zwykły kres śmiertelności i rozpoczął nieumarłszy drugi żywot. Pamięć, mianowicie dawnych bardzo rzeczy, zachował wyśmienitą i zdumiewającą. Opowiadał mi udział wzięty przez siebie jako dworskiego kozaka w konfederacji barskiéj, harce swe z kozakami Drewicza, i bohaterski skok nieśmiertelnego Kazimierza Pułaskiego w dniestrowe nurty z oddziałem 200 koni, do którego należał.

Starzec dodawał, że obdarzony był od Boga za młodu wieszczym duchem jak Wernyhora, którego znał osobiście, i że razu jednego, kiedy prymas przybył w odwiedziny do księcia kasztelana pana jego, Semen mu pokornie radził, aby nie odjeżdżał dnia tego, bo inaczéj przypadek mu się zdarzy. Prymas się rozśmiał, nie usłuchał kozaka, i pożegnał kasztelana; ale nieopodal od Komargrodu mostek się zapadł pod ciężką poszóstną prymasowską karetą, która się złamała, a gość mocno się potłukłszy musiał wracać do gospodarza na drabiniastym wozie. Wtedy zawołano Semena i zaczęto go badać, jakim sposobem odgaduje przyszłość. Wzbraniał się zrazu od téj spowiedzi, ale ulegając wreszcie natarczywości rozciekawionego prymasa, któremu gospodarz pomagał, przyznał się, że postać w bieli zjawia mu się przed każdym ważniejszym wypadkiem, i uprzedza go o nim.

Atoli następnéj nocy taż sama postać pokazała mu się na nowo gniewna i groźna, i oświadczyła, że dla ukarania go za zdradzenie surowo nakazanéj tajemnicy, więcéj już doń przez całe jego życie nie wróci, i dopiero przed samą śmiercią zjawi mu się po raz ostatni, aby mu koniec jego zwiastować. Semen zapewniał mię, że dopóki zjawiska nie ujrzy na nowo, umrzeć mu niewolno.

Jakoż żył jeszcze długo, i ze zdumieniem dowiedziałem się zagranicą, że mając już sto trzydzieści lat z górą postępował za trumną przedwcześnie zgasłéj, jedynéj a cudnéj pra-prawnuczki kasztelańskiéj, któréj dziadek pradziada wychował go był niegdyś. Odtąd o Semenie więcéj nie słyszałem. Kortyna podolskich lasów zapadła na zawsze między światem a tą osobliwą, legendową, przedrozbiorową postacią.

Pozostała ona tylko w pieśni, jako postać piastuna i kapłana garści polskiéj ziemi, którą Ixion zamiast relikwi nosi wszędzie z sobą.

Niniejszy poemat jest téj ziemi apoteozą.

Oby zdołał rozżarzyć miłość ku niéj i spotęgować opór wrogom, którzy wydarłszy nam w przeszłym wieku niepodległość i ojczyznę, teraz święty ojczysty język z piersi a sam rodzinny obszar z pod stóp nam wydrzeć usiłują! Wszak wiadomo, że nawet l' Alliance israëlite postanowiła przywłaszczyć go sobie w Galicji, wydziedziczając Polaków...

Niech więc Ixion stanie się hasłem nowéj walki na zabój w obronie polskiego języka i ziemi. Zaiste przekleństwo jéj przywłaszczycieli, Moskala, Prusaka i Żyda, byłoby najcenniejszą nagrodą dla autora, najmilszym dla duszy jego balsamem i kordjałem!

W dzień Przemienienia Pańskiego 1888.
W willi Conestabile pod Perużem.

PRZEGRAWKA.

PRZEGRAWKA.

Czy w światowéj tej posusze
Wpół uwiędłą twoję duszę
Wykradałeś kiedy w góry,
Na łabędzie łono chmury,
Gdy je wschód koralem krasi,
Nad bieżącéj szumy wody,
W pełnią wiatru i swobody,
By wieść żywot wolny, ptasi?

Czyś przez gęstwę zajrzał w jary
O modrawéj jak świt głębi,
Która wonnym chłodem ziębi?
Korunkowo w liść paproci
Oplecione jak puhary,
Okręcone rzutkiém winem,
Co się na niém jesień złoci,
A na złocie lśni rubinem?
Czyś z ich sinéj cieniem czary
Zielnych woni pił nektary,
Gdy pionowo w siność prószy
Promień zdmuchnion w tuman złoty,

A woń dzika, pustelnicza,
Jak uczujny prąd tęsknoty
Z dołu bucha do oblicza,
I zawiewa aż w głąb' duszy,
I napełnia ją wspomnieniem,
Niepowrotnych chwil obrazem?
Gdy jak ścieżką tym promieniem
Roztęsknione już do góry
Światło, dusza i woń razem,
Jedném się wniebowstąpieniem
Wyrywają wprost w lazury?

Czyś do wielkiéj gór drużyny
Wstąpił w chwili kiedy dnieje,
Kiedy szafir tak rzewnieje,
Iż z tych tkliwszych barw głębiny
Łzą przejrzystą, brylantową,
Ranna gwiazda na wierzch tryska,
I drży błyszcząc, i drżąc błyska?
Świat przeczuwa cud na nowo:
Ze spuszczoném kornie czołem
Pod ostremi w storc kaptury,
W pociemniałéj swéj kapicy,
Niby w chórze wielkiém kołem,
Jak na jutrzni zakonnicy,
W rozmyślaniu milczą góry....
Tylko gwiazda o téj chwili

Lśniąc nad niemi się motyli;
Zaś pod cyplem zachodząca
Coraz bledsza twarz miesiąca
Napół za skałami znika,
A na skałach tkwiąc połową,
Zda się białą trupią głową
Przed postacią kapturnika.
Aż nakoniec wymodlony
Cud ze wschodu ciągnie strony,
Czas się zbliża objawienia:
Z pod srebrzystych gaz zasłony
Twarz się cudna wyrumienia;
Jako wiosna święta boża
Cała w różach idzie zorza,
Gwiazd osycha na nich rosa;
A gdzie tylko padnie róża
Mnich się z cienia rozkapturza,
Ranny chórał śle w niebiosa.

Gdy się z róż wykluwa rano,
Czyś jak Mojżesz z góry Nabo
Twą źrenicą grzeszną, słabą,
Na pół sennéj róż tych jawie
Zoczył ziemię obiecaną,
Jak daleki ląd światłości
Wzorującą się w przyszłości
Na jutrzejszych dziejów sławie,

Polskę, Polskę ukochaną,
Już dzisiejszą, ziemską prawie?
I czyś wezbrał szczęściem takiém,
Że przed rajskim tym majakiem,
Jak przed świętym krzyża znakiem,
Naglés we łzach zgiął kolano?....

Na podniebnéj skał wyżynie
Czyś stał patrząc jak wieczorem
Nieśmiertelny feniks ginie?
Po za wyzębionym borem,
Po za czarnym sosen wzorem,
Łuna bucha gór przestworem.
Na wysokość tego zgonu
W stos się mirry, cynamonu,
Dalsze upiętrzyły szczyty....
Wraz zażegnion już w oddali
Głownią każdy z nich się pali
Wiatr rozdmuchał w żar granity;
Mgłą czerwoną dymią jary;
W tym się dymie krąg roztacza
Krwawych skrzydeł ogniwacza;
Jeszcze pióra swych promieni
Raz w wąwozów wcisnął szpary;
Zgorzałemi wnet już tleje,
Już bez wieńca piór się mieni,
Już bezskrzydły dogorywa,

Skrą się w popiół stosu skrywa,
I świat wkoło popieleje:
Skry w popiele na pogrzebie
Jeno gwiazdy błądzą w niebie....

A znasz ty góry gdy nagle ustroją
W blask ideału ciemną nagość swoją,
I na ich skronie z chmur wędrownych cienia
Zstępuje wieszcza godzina natchnienia?
Czy znasz bezbrzeżną napowietrzną ciszę,
Gdy na nie spadnie jak dłoń na klawisze,
I w swym akordzie trzyma nut tysiące,
W dźwięk niewygrane, choć w powietrzu drżące?
Najwyższy cypel, pustelnik błękitu,
Jak dłonie w niebo wysmuknął wiszary,
I znieruchomion wiekami zachwytu,
Z dna turkusowéj zda się sączyć czary
Nektar wieczności w swe piersi z granitu.
Zawsze samotny w górnéj Tebaidzie,
To w niebo wygnan potopem stylita;
Tylko błyskami uśmiechów go wita
Pielgrzymka gwiazda gdy do słońca idzie;
Lecz go się boją stworzenia téj ziemi:
Kto wyższy od nich, ten sam między niemi,
Przedpotopową dla poziomu mieści
Zagadkę w sobie grozy czy boleści....

Aliści z dala po modréj głębinie
Pocieszycielka i rajska zesłanka,
Złotém czółenkiem odbitém od ranka
Do pustelnika błędna chmurka płynie.
Jak sen się zwiała z świeżych pieszczot rosy
Z rumianém słońcem mglana ta dziewica;
Lice więc stroi rumieńcem rodzica,
A perły matki wplotłszy w długie włosy,
Waży się całkiem perlana na skroni,
I taka lekka gdy ptactwo wyściga,
Że wiatr choć rannych niesie ciężar woni,
Całą na jednem tylko skrzydle dźwiga....
I odwijając rąbek śnieżnéj szaty
Na zadumane samotnika czoło,
Z nadziemskim wdziękiem sypie pełną połą
Na łąkach słońca pozrywane kwiaty,
Od głów olbrzyma aż na skał podnóże,
Płomień w szkarłatne przekwitły granaty,
I bledsze z zorzą współmdlejące róże.
I padłszy sobie oboje w ramiona,
Już płoną szczęściem w rumieńców czerwieni,
On przeobrażon, ta zaś przemieniona
Cudem miłości, co znienacka mieni
Zwał dzikich opok w rząd drogich kamieni,
Co ametystem, rubinem, opalem,
Wysadza w górach rajską Jeruzalem,
Spuszcza ją strojną jak oblubienicę
Na nieskończoną pustkowia tęsknicę,

Sprawia, iż straszne urwiska pięknieją
Światłem, jak ludzkie oblicze nadzieją,
I w chmur objęciach na bezkwietne skały
Lawiną kwiecia rzuca ideały....

Więc raz się jąłem wczytywać samotny
W tę barw i cieniów w górach epopeję,
A co chmur po nich kreśli cień przelotny,
Co światło barwy tęczowemi sieje,
Samo się zwiało w Ixiona dzieje.
Wieść o nim wiatrem gnaną w cyplów ciszę
Z mgły różowego rękopismu piszę;
Ze srebrnych rozmów strumieni z sitowiem,
Z opowiadania słowików opowiem.

PROLOG.

PROLOG.

Jak modry kwiat barwinku gdy się sperli rosa,
Bóg z łez wiecznéj pogody otrząsnął niebiosa,
I gdyby we łzawnice w dwojga źródeł urny
Skropliwszy to przezrocze i lazur bezchmurny,
Pod mchem skał ukrył dzbany z płynnemi kryształy,
By płaczki — góry nieba rzewnością płakały.
Ze łzawnic pochylonych ku sobie z daleka
Wybiegł srebrzysty strumień i niebieska rzeka,
Choć ją Nerą nazwano a jego Welinem,
Niby pian białym zwojem w łonie jarów siném.
Oboje zaś wyrocznie ciągnęło przeczucie,
Co wiedzie spadki dźwięków ku wspólnej im nucie,
Którém w świecie szerokim dwa duchy pielgrzymie
Muszą się spotkać w życiu jak dwa wiersze w rymie,
I byt swój rozpołowion scalić w téj połowie.
Ona jak wodną harfę napiąwszy sitowie,
Wędrowała z przycichłém pod liśćmi westchnie-
[niem,
Gwieżdżąc gładkie swe łono złocistym grzybieniem,
Łan gwiazd w sieć strun zielonych łowiąc; — to
[ramiona
Rościągała głębiejąc, i niby wmyślona

W głąb' swą stała przejrzysta w cieniu; — to
[w gęstwiny
Zabłąkana szeptała: Gdzież jest mój jedyny? —
To znów bieżąc ku niemu na słońcu przez pole,
Drżała złotem przez srebrne współdrżące topole,
I rozplecionym wierzbom przed oblicze kładła
Goniące za obrazem miłego źwierciadła.

On płynął grzbietem pasma, i w szalonym pędzie
Jak sęp z pod chmur zdobyczy szukał miłéj wszędzie;
A przed nim jako gońce wysłane na zwiady,
Kracząc leciały orły spłoszonemi stady,
I orlica chwytała jak rozbitki łodzi
Gniazdo swych piskląt nurtem porwane powodzi.
Jak sęp Prometeuszów szarpał gór jelita,
Aż góra legła przed nim zwalczona, przebita,
Dysząc paszczą otchłani, gdzie się wgrążał wirem,
I powracał spieniony, kręcąc mokrym żwirem,
Wijąc mchów siwe brody; — i jak Cyklop młotem
Wód swych druzgotał granit z gromowym łoskotem,
Strącał olbrzymie skały jak z nieba tytany,
Padłe z szarpniętym w walce strzępem jego piany,
Lub wystraszał z kąpieli nagie, trupie skały,
Co jak spóźnione widma w nieładzie pierzchały,
Z rozczóchranym powojem lub z kołtunem jędzy
Skłębionych w żmije krzewów, i chciały czém
[prędzéj

Zapaść się w grób przepaści, co ział ku nim sino,
Z drżącą na wardze swego rozziewu rośliną,
Co niosła nad odmętem zakutym w te grzbiety
Spokojny w kwiatku błękit jak dusza poety....

Aż w locie sępa raczéj niż w prądzie potoku,
Przez wyrwę rozprutego piorunem obłoku,
Spostrzegł w bławym objawie chyżéj błyskawicy
Zbladłą gdyby od wzruszeń twarz oblubienicy,
Która żądna i trwoźna, chodź niewiedząc czemu.
Tam — precz — głęboko — w dole bieżała ku niemu,
Ujrzał ją w czułéj przeczuć i zrękowin bieli,
A już w dali, co niebo od ziemi téj dzieli,
Widział tylko serc blizkość, widział usta zwiane,
I trzykroć się we wrzącą okręciwszy pianę,
Już przerażony bezmiar zmierzył jednym skokiem,
Już urwanym u nieba okrył ją obłokiem,
Perły, brylanty, iskry sypnął swojéj pani,
A sam z hymnem miłości i śmierci w otchłani
Śmiertelne swoje brzemię rozbił na jéj łonie,
Zgon i pogrzeb w uścisku znalazł, — a po zgonie
Nieśmiertelny kochaniem, wyzuty ofiarą,
Bezcielesny, jak duchem lekką wzleciał parą,
Wzbił się prosto do nieba z kochanki objęcia,
Co go wnet ogarnęło mocą wniebowzięcia,
I rozwinął w słonecznéj zbawionych obręczy
Jako znak zmartwychwstania chorągiewkę tęczy.

Nad wodospadu dymiącym odmętem
Dzikie urwisko wieńczy się wieżycą;
Na czole jego pod obłoki wspiętém
Zda się wzniesioną olbrzyma przyłbicą,
A przy niéj sosna krągłą tarczę górą
Niesie nagięta jak na hełmie pióro.
Choć wrząca otchłań pod zamkiem się pieni,
Niewzruszon stoi z tą kitą zieleni;
Choć srebrną żmiją wciąż syczy ku niemu,
Otulon w powój duma podawnemu.
Rzekłbyś przeszłości nieruchomy świadek
Na tegoczesny gwar zobojętniały,
Co mu skroń pełną wspomnień i zagadek
Pioruny nieba czy życia zorały;
Niegdyś wielmożny, liczon między pany,
Dziś mchów spłowiałe naciąga łachmany.
Niekiedy tylko w noc wietrzną i ciemną,
Gdy otchłań huczy swą piersią podziemną,
A jak latarki miotane zawieją
Gwiazd karawany drżącem światłem sieją,
Wraz także błyśnie zapadłe głęboko
Pod rzęsą bluszczu staréj baszty oko,
I naprzeciwko po wałach przeleci
Cień-li mieszkańca czy ducha zamieci....

Któż o północy to hasło zapala
Dla zbłąkanego w parowach gorala?
Któż to bezsenny za strzelnicą czuwa,
I przed kagańcem cieniem się przesuwa?
Ach! by codziennie przez powojów kratę
Słać ptakiem w oddal myśli swe skrzydlate,
I sięgać czołem po ten ruin wieniec,
I mdłym promykiem o duchów godzinie
Wiercić pierś czarną nocy aż przeminie,
Szczęścia lub świata snać to potępieniec,
Snać to rozbitek wielkiego rozbicia
I pogrobowiec ojczyzny swej życia...

Jaki go zagnał wiatr w tę przystań stromą?
Zkąd korab' jego odbił? — Niewiadomo;
Ni czy za młodu na losu wsiadanem
Bieżał wybrzeżem różami usłaném,
Ni czy z fal życia za te bluszczów kraty
Wniósł resztki cierniów lub uwiędłe kwiaty...
Głucha wieść jeno krąży wśród gorali,
Co go o zmierzchu w skałach zdybywali,
Że tam, gdzie wyrósł, same powschodziły, —
Ofiar urodzaj, — krzyże i mogiły;
Że tam Kocytem z męczeństw grobowiska
Miasto wód jasnych krwawa łza wytryska,
Że głos u dziewic, wiatr zaś w lasów szumie
Śpiewać zapomniał, jeno płakać umie,

A każda zwrótka, jaką płacz ten nuci,
Powtarza ciągle: — Kiedyż wolność wróci?...

W błędnéj zadumie codziennie wieczorem
Na bliższéj nieba zwykł on stawać skale;
Tam się samotnym posąguje wzorem
Na wystrzelonym cyplu pedestale,
A purpurowe dumnej jego głowie
Opar zachodu podściela wezgłowie:
Tak na czerwonéj wyryje pieczęci
Niezrozumiałe stary sygnet znamię,
I zagadkowo na wieki załamie
Pargamin w aktach i w ludzkiej pamięci...
Twarz ta w zarysie piękna, twarda, dzika,
Jak grobowego prosty kąt pomnika,
I jak grobowy marmur zawsze blada.
Dziwny mu wyraz na ustach usiada:
W części to uśmiech, straszna gorycz w części,
Wesele niby, które skrycie boli;
Tak czasem w bróździe wyplenionéj roli,
W rogu ścierniska piołun się zagęści.
Skroń bez tajemnic jak ojczyste niwy,
Wydęta, szczytna, jak wichrów siedlisko;
Wzrok obojętny, a bezmiaru chciwy,
Tkwi w niewidzialném, nie widzi co blizko,
Gdzieś zaświatowe ściga widowisko;
Precz — w dal — mrowisto — jak w Bohu głębinie

Widać w źrenicy jak nurt myśli płynie.
I często w ducha tajemnéj pogoni
Wraz jakiś majak przemknie się po skroni,
Czoła mu nieme zalegnie obszary,
Iskrą natchnienia w oczach mu zapłonie:
Tak się przejrzyste nasuwają pary,
I na wieczornym zwiane nieboskłonie,
Uduchowionych barw rozwieszą czary:
W tém z róż stulistnych i fiołków pościeli
Wzrokiem brylantu gwiazda Wenus strzeli.
Sklepienie czoła wtedy mu za małém
Gdy tak nabrzmieje z nagła ideałem,
Gdy niby bóstwa objaw w téj świątyni
Aż zewnątrz blaskiem lica mu oczyni.
Duch jak łódź w burzy miota w kształt kotwicę,
Rwie się ku brzegom, myśl chce złożyć z ciałem;
Pierś ledwo wstrzyma wnętrzną nawałnicę,
Faluje wzdęta jak chorągiew w boju,
Jak miech organów podnosi się, spada;
Snać wzbić się sili do równi nastroju,
Snać woła kogoś, co nieodpowiada...
Pierś tylko dysze, — a postać bez drgnięcia;
Rzekłbyś, że sztywnie naprężone ciało
Ze krwi i życia obiegiem przelało
W usta i w oczy całą moc zaklęcia;
Wszystkiemi władzy ciąży nad otchłanią,
Całém jestestwem napierając na nią:
Głąb' jéj ziejącą orzeł zwisły z góry

Nieruchomemi tak nakrywa pióry,
Jak gdyby próżnię chciał swych skrzydeł cieniem
Ogrzać by gniazdo i wzbudzić stworzeniem.
I on swe stań się! zanurzył w odmęcie,
Oracz nicestwa, w czarnéj jego glebie
Czucie swe złotém zagrzebał nasieniem,
I orlim szponem utopił zaklęcie,
Byt w sercu próżni schwycił, rwie do siebie...
Słyszysz jak w bezdni huczy jego słowo?
Widzisz jak otchłań ściągniona wędzidłem
Pieni się, dęba staje: tak bieguna
Grzbiet czuje ducha z niewidomém skrzydłem,
Kaskadę grzywy najeży nad głową
Jak śnieżny tuman. Wodospadu struna
Pęknież wysiłkiem czy pieśń zagra nową,
Hejnał stworzenia, gdy moc ducha kładzie
Czar swego ładu na żywioł w nieładzie?
Twórcza na skroni wciąż mu rośnie łuna,
A nad nią wiatrem natchnienia do góry
Włos porwan lata na wzór czarnéj chmury.
Oto wyciągnął gwałtownie ramiona:
Snać chce kształt jakić przytulić do łona...
Błędne się usta zdadzą szukać czoła, —
Jak całus matki nim włos dziecka zgarnie, —
Czoła stworzenia, lubéj czy anioła...
Gorączka ducha z ust tych zieje skwarnie,
Srogie czekania wydając męczarnie...

Ach! czyż kształt żaden dziewiczy i świeży
Z dala w ten uścisk błagalny nie zbieży?
Z modréj nieb puszczy kropla rosy mała
Jak zdrój Agary trysnąć-li nie może
Na żwir téj piersi?... — Wszechmogący Boże!
Powiedz, czyż wszystkie łzy twoi anieli
Już wypłakali na swe lilje w bieli,
Że dla spragnionych żadna nie została?
Wszak pierś Sahary ma w źródle oazy
Dla gwiazd źwierciadło i chłód z palmy cienia,
Chmur łzawnicami wszak są ptactwu głazy;
Wszak świat ten nawet okrysztalon morzem,
Łzą zda się światom płynącą przestworzem,
A brak jéj tylko bolom bez imienia?

Ach! bolów takich, biedny Ixionie,
Serce twe krwawą wskroś przeszyte strzałą;
Lice Syrjusa, co tam w górze płonie,
Równéj katuszy ponoć nie widziało.
Ta gwiazda twoja spłakana i miła,
Od dymu strzechy na twych ojców ziemi
Do pian tych dymu, błyskami swojemi
Ileż mar w życiu twojém naliczyła!
Czeka on, czeka, — a na zaklęć czary,
Na moc słów wieszczych — same dotąd mary!...

Już noc. Gór wierzchy jak czarnéj piastunki
Drażnięta, wilgną księżycowém mlekiem
Pod sinym rąbkiem; drżeniem już dalekiém
Wody odczuły światła pocałunki.
Już z nad wiszarów ukośne promienie
Ciemność swym mgławym ściosały namiotem,
A w jaw ich blady nieustanny wzlotem
Z otchłani rosną wniebowstępne cienie.
Mistrz promień szybko każdy z nich uchwyci,
Jakieś w nim kształty rzeźbi powietrzniane:
Tak niegdyś morską przeduchowił pianę
W kształt ubóstwialny niewieściej kibici;
Grecja dłań w ziemskie rozkwitła niebiosa,
I z pian w nią spadła wieczna piękna rosa...
Kształt też wraz mignie przez stworzenną błonę,
Błyśnie uśmiechem i strzeli oczyma,
Jak cudne lice rąbkiem zapuszczone,
Strzeli i błyśnie, lecz pian się nie ima,
Już się odkształca, płynie w echa stronę,
Wnet się roztopi w poświacie księżyca
Ow błędny majak czarownego lica,
I w ślepéj próżni już obrazu niema!
Zasłony nawet z wiatrem uleciały,
A miasto twarzy fałdy ich rozwiewne
Spojrzenie gwiazdy odsłoniły rzewne,
Wśród spadających jednéj gwiazdy stałéj!
I tylko w dali srebrne gdzieś miesiąca
Wiosło w szafirach resztę pian roztrąca...

Próżno więc postać chwytał w każdym cieniu,
Chciał całym swoim uistoczyć bytem;
Próżno ją stokroć wołał po imieniu
Siostry, kochanki, w dnie serca wyrytém:
Przestrzeń w objęcia wciskała się pusta,
I oddech wiatru piły tylko usta...
Więc dłoń opada, pierś nieruchomieje,
Jak nieruchome w falach ziół kurhany;
Snać gdzie skarb szczęścia leży pogrzebany,
Tam on i nową pogrzebał nadzieję.
Wielka jak w stepie staje się w nim głusza,
I jak stepowy orzeł nad mogiłą,
Nad dawném szczęściem, co się znowu śniło,
Opuszcza skrzydła zadumana dusza.
Westchnął głęboko, — wiatr łkanie roznosi...
W wieczornéj rosie serdecznego płaczu
Czyś sen ostatni utopił tułaczu?...
— Nie! on o nowe jutro mary prosi!
I załamane ręce swe do Pana
Jak tryumfalny łuk rozpaczy wznosi,
I jutrzejszego na to czeka rana,
By w nocy z gwiazdą weszła Obiecana!...

Czasem znękany ku odludnéj wieży,
Chwiejną znów stopą krętą ścieżkę mierzy,
A powłóczysto księżyc światłem bladém
Cień niebieskawy wiedzie jego śladem:

To z bożéj łaski miesięcznych promieni
Czarny niewolnik tego króla cieni,
Niemy i słupem korzący się długim;
Pies, co się czołga i skomli jest drugim:
Dwaj nieodstępni jego towarzysze,
Ów bez tchu żyje, ten cieniem co dysze...
W baszcie i trzecia czeka przyjaciółka:
Luba gałązka rodzimego ziółka:
W tułaczéj torbie bryłę z ojców skiby
Przyniósł on z sobą do obcéj siedziby,
I na pamiątkę pól ojczystych plonu
Przechował w złotéj czarze z Partenonu,
Gdzie dłóto z cierniem wijąc mirt na przemian,
Miłość, kwiat nieba, splotło z bólem ziemian,
I rzeźbą w każdym rozsnuło festonie
Smętny Hellady mit o Ixionie.
Z leśnej gęstwiny błędne ongi ziarno,
Wiatrów igrzysko, padłszy w glebę czarną,
Złożone społem w puhar co się złoci,
Od łez wygnańca codziennej wilgoci,
I pod ust jego ożywném gorącem
Uczuło tętno w swém serduszku śpiącém,
I wprost ku niemu strzelił liść paproci,
Co się na czary tle rozpina złotém
Niby wzorzystym weneckim forbotem:
Ten zjawia zaświat tajemniczym kwiatem,
Co władzę daje nad widomym światem.

O ziemio polska, cudotworna, święta!
Oto nie tylko, że w dłoni ściśnięta
Garść twa męczeńską krew wysącza z siebie,
Lecz nawet w dali, na piaski wygnania
Z pod jarzma wroga na relikwją wzięta,
Kwiat ideału jeszcze tam wyłania,
Co kwitnie w Polsce już tylko i w niebie!
Matko! pod kirów bezwzorém okryciem
Gasisz blaskami czar rzeźbionych złoto:
Co w sztuce martwym kształtem, w tobie życiem,
Co w niéj pamiątką, to w tobie tęsknotą
Przyszłości, w przyszłość wieczném serca biciem!
Choć boski nektar wysechł w złotéj czarze,
Choć susza natchnień na dnie pośniedziałém,
Jedna w niéj możesz, — po bogów nektarze, —
Ofiarna ziemio! błysnąć ideałem;
Bo źdźbło twe każde wyrasta z ofiary,
A najpiękniejszym z kwiatów twych kwiat wiary.
Pieśni rodzico! jeśli polskie plemię
Straci ideał, — wiarę w wolną ziemię,
Wówczas ratując ojczyznę kochaną,
Mścicielka lutnia nowych Orfeuszy
Przeleje w rolę resztę polskiéj duszy,
I w braku ludzi skiby twe powstaną!...

Patrz Ixionie! ciepły podmuch wiosny
Starł z nieba chmury, zazielenił drzewa,

Śpiewnym już dreszczem wpadł w gałęzie sosny,
Firankę bluszczu w oknie twém przewiewa.
On z Polski wieje. Czujesz woń dąbrowy,
Zapach ze szronów rozkutego pola?
Wkrótce najazdu prysną tak okowy,
I krą na północ tak wróci niewola!
Ziele poznało skrzydlatego gońca,
Co dech ojczyzny w ustach swoich trzyma;
Jak pierś westchnieniem do niewoli końca,
Tak ono pączkiem cudownym się wzdyma.
Może zakwitnie.....

Boże polskich kwiatów,
Zasłonion oku bławatkami nieba!
Z rozkwitłych błoni wszystkich twoich światów
Jednego kwiatu wolności nam trzeba!
Próżno nam maisz konwalją doliny,
Wonią czeremchy wiejesz z lasów cieni:
Niema nam wiosny — póki ten jedyny
Ziemi krwi sytéj kwiat nie zarumieni!
Dla tego syna i dla tego ludu
Spraw, by ma ziemia kwiat wydała cudu!
Biedna u siebie szukała go tyle...
Zginął-li na niéj?... — stwórz go na téj bryle!
Mogił mu trzeba?... — z łaski twego gniewu
Weź mię, weź serce żywcem do zasiewu,
A wzbudź go Panie! na mojéj mogile!...

Nieraz przy czarze aż do świtu siedzi,
Rozwoju ziela czułym wzrokiem śledzi,
A trysk miesięczny, co strzelnicą wnika,
I lampy dreszcze dają kształt posągu
Rysom rzeźbionym przez dłóto promyka.
Wraz księgę rozwarł, i w jéj dalszym ciągu
Sny swe wpisuje do życia sennika.
Wiatr nocny miętą natchnion, uświeżony
Łez niby cichych kojącym wylewem,
Niosąc mu wspomnień skwar z dalekiéj strony,
Chłodzi go skrzydła rosistego wiewem.
Wspomnienia jego, — to jak róża blada:
Na każdym listku złoty owad myśli
Snuje swą przędzę, cudne liczko kréśli,
I każdy żywy z lic rumieńcem listek
Zlatuje, w księgę kwiat róży opada,
Aż zwiędły, zżółkły, zasuszy się wszystek.

URYWKI Z KSIĘGI IXIONA.

URYWKI Z KSIĘGI IXIONA.

Piękności we snach życia mi zjawiona,
Nieprzyciśnięta dotychczas do łona,
Z bliska ujrzana, — a zawsze daleka,
By majak w puszczy, co gonion ucieka,
Co z dna bezwodzia czerpan wciąż oczyma
Łzy skwarem piasków wypił z ócz pielgrzyma,
Lecz zeń nie wyssał wiary w te obrazy,
Co do prawdziwéj muszą wieść oazy:
— Wpół rzeczywista, a wpół dotąd senna,
Kiedyż więc wrócisz moja Bezimienna?
Kiedyż z ostatnim przemian twoich kształtem,
Gwałtownik nieba, niebo porwę gwałtem?
Kiedyż w najwyższym uścisku objawie
Z mych snów rozwianych zwiejesz kształt na [jawie?...

. . . .

W POLSCE.

W POLSCE.

I.

Ciężko mi, — w sercu przeziąbłem, — snać chwila
Świtania z nocą we mnie się przesila.
Jak próżny kościół z mego wnętrza chłodu
Dreszcz ślę na zewnątrz, — może chłód to wschodu...
Górny ten namiot nad basztą rozbity
Jak swe wszechpięknie rozgwieździł błękity!
Wzrok jak kruk arki, gdy w ich głębiach tonie,
Wracać w dół nie chce, — uwiązł w Boga łonie.
Lecz żwir gwiazd na dnie błękitnych przezroczy
Tylko mi falą cienia bije w oczy:
Aby rozświecić same blaski nieba,
Z własnéj mi duszy promieni potrzeba,
Tych, które złocą krainę pamiątek...
Z brylantowego ogromu wszechświata
Jeden mi dajcie szafiru zakątek,
Ten, co się w wianek wierzby mojéj wplata,
Ten, co go czarném ramieniem swem niesie
Ze strony serca, w dwóch drewien zakresie,
Krzyż mój cmentarny na wzgórzu, nad domem.

Tak mi to znamie blizkiém, tak widomém,
Że mimowolnie czoło me się zniża,
Usty w ciemnościach szukam stopy krzyża...
Ach! prędzéj światła na tę nieb kończynę!
Dawnéj mi zorzy utoczcie z obłoku,
Jak krwi rumianéj z najświętszego boku,
Niech cały rosą światła tego spłynę!...
Oświtłem... krzyż się rozramienił na niém...
Bóg by go podbić tém ufarbowaniem
Urwał z ogrodu matki méj malinę!...

II.

Już przez dal czasów, przez odstań przestrzeni,
Duszą mą całą lgnę do téj czerwieni,
Co wkwita z nieba w kraty krzyżów czarne;
Jak trwożne pisklę pod skrzydlatą macierz,
Tak się pod ramię męki pańskiéj garnę;
Przez pocałunek drzewo to cmentarne
Znów w ustach moich zaszczepiło pacierz...
O święte ramię! przytulże do ziemi,
Zkąd Ona wyszła, głowę moję błędną!
Nim te zórz wianki nad tobą uwiędną,
Niech pierwszy objaw stanie znów pod niemi!
I jak z piór pisklę z pod krzyża ramienia
Wyzieram... Wzrok mój nawstecz się wycienia...
Wiatr dawny wionął... piersi mi za mało,

By macierzanki wyczerpać zeń wonie;
Dusza ma całą przepaścią swą chłonie
Duszę ojczyzny w lasach rozwoniałą...
Dym chat już czuję... pachnie miód pasieki...
Niżéj cmentarza, tam za kołowrotem,
Domek się bieli nad kwitnącym płotem...
Za nim topola... Boże! pod powieki
Włóż mi ten obraz i stul je na wieki!...
Zdmuchnij proch gwiazd tych, co mi go zasłania,
Rezedrzyj niebo!... potrzymaj na dwoje
Ot tak rozdarte... niech na śmierć upoję
Pierś jeszcze kroplą chwil oczarowania!...

III.

Wiosna ta Panie! nim na świat wionęła,
Nie w słońcu, w twojém sercu się poczęła.
By tyle kwiecia tchnąć na każde błonie,
Tchem była w twojém nieśmiertelném łonie,
I tak zleciała jasna i dziewicza,
Bo wprost odbiła blask twego oblicza;
Więc serce w piersi czyniła skrzydlatém...
Ach! ona wiosnom niepodobna dawnym,
Zdała się raczéj miłościwém latem
Piękności bożéj w pogodzie nad światem
Nagle uśmiechem zlitowanéj jawnym.
Wieściły wzgórza, lasy, staw, doliny,

Że Bóg wszechpiękny — więc odpuszcza winy,
Odpust był jako w niebie tak na ziemi:
Odświętnie w białym dzwoniono kościele,
Wnętrze wianuszki i tatarskie ziele
Stroiły w zieleń, a kmiece drużyny
Woń z niej kolany wytłaczały swemi.
Tłum wierny wzdychał, wzdychały organy;
Jak skrzydły dwojgiem westchnień kołysany
Wzbijał się w górę rzewny śpiew godzinek,
I z góry spływał, falując jak łany,
Na czoła kmiotków i dziewcząt barwinek.

IV.

Podle kościoła wznosi się mogiła:
Tam po raz pierwszy tyś mi się zjawiła...
Przez drzwi otwarte śpiew płynąc nad tłumem
»Zdrowaś!« zawiewał niewymownym jękiem,
A za cmentarzem las zegran z tym dźwiękiem
Odbrzmiewał »Zdrowaś!« wszystkich liści szumem.
Z wnętrza kadzidło biło na podwórze,
Z kniei tchnął leśny miód i polne róże;
Dziwne podmuchy rozświeżały długi
Szlak wśród powietrza, — niby z raju cugi,
Wnikłe uwartą w odpust jego bramą;
Była to prosta, niewidoma droga,
Którąś miał wolny oddech aż do Boga,

Powietrze było, — ale nie to samo:
Po za skończoność błękitem i złotem
Wszystko wylało gdzieś tam w Stwórcy stronę,
Przejrzalnym, wzlotnym bez wiatru namiotem
Jako skrzydłami mknąc uduchowione.

Tam w samém sercu wiosny, światła, kwiecia,
Pomiędzy Bogiem a duszą mą trzecia
Nagleś stanęła. Na darni mogiły
Jak po pod chmurkę pęk promieni ranny,
Tak złotym kwiatem łodygi dziewanny,
Pod ciebie rosą zwilgłe się kłoniły,
A ludzkim prochom nakrytym mogiłą
Pod twemi stopy lżéj pod ziemią było.
Lekko płynęłaś po rozkwitłym stoku,
Do nadziemskiego podobna obłoku,
Gdzie z zorzą urok łez się ziemskich żeni;
Ledwo ujrzana, a w świata przestrzeni
Już mi jedyną byłaś, i na niebie
Słońca bym nawet nie widział bez ciebie!...

V.

W cierniu i chwaście u spodu kurhana
Leżała trupia głowa wyorana
Dawno przed laty wartką strzałą gromu,
Co tam powalił nakształt wiatrołomu

Słup z ciosu wryty bez krzyża. Z pod słupa
Nagle wypadła czaszka kościotrupa,
Niegdyś odcięta mieczem od tułowu.
Spłoszona blaskiem pierzchała w głąb' rowu,
Tocząc się nawznak, i w krótkiéj pogoni
Ujrzała wirem jam swych jak na dłoni
Widnokrąg cały ślicznéj Ukrainy:
— A był on jako jedno pęt ogniwo!...
Więc gryząc trawę paszczą swą bez śliny,
Wstyd bez rumieńca skryła pod pokrzywą,
Blady żar chłodząc palącą jéj chustą,
Tuliła w zielsko wklęsłość ócz swych pustą.

A dziad o kiju wlokąc się tamtędy
Zoczył ją, stanął, i wnet do gawędy,
Wstrząsając siwą brodą, wziął się z czaszką:
»— Co? do Humania znów mości watażko?
Czy też samopas przez imaginacją
Głowa na carską jedzie koronacją?
Do pohulanki zbytnieś waszmość skory,
Gdyś jak kret z trupiéj dał drapaka nory...
Nie kryj się!...«

Mówiąc kolec na kosturze
Kość przewróciwszy, w ócz utopił dziurze,
I rzekł macając popiołów źrenicy:

»— Hej ruski prochu! widzisz nóż carycy?...
Zdrajco! na czyn twój patrz uradowany:
Pragnąłeś kajdan? — ma Polska kajdany!
Z szerokowładnéj Rzeczypospolitéj
Pozostał tylko — ot ten słup rozbity,
A na mnie brzemię torby téj żebraczéj!...
Więc lud cię przeklął, — a Bóg nieprzebaczy
Póki krew Polska nierozgrzeszy ciebie,
Upiora swego sama niepogrzebie!...«
I w dal się powlókł...

VI.

Jaszczurka bezdoma
Trwożnie zakręty kołując wieloma
Przez czeluść oka ziejącą podziemnie
Wkradłszy się siadła na czaszki suficie,
I jak myśl sklepu rozświecało ciemnię
Gwiazdkami cząt to jaszczurcze życie.
I jak potomstwo myśli gdy zapłodni
Zbrodnicza duszę pokoleniem zbrodni,
Tak w bramach zmysłów bez wzroku ni słuchu,
Stanęło naraz niecnych czynów godło:
Całe jaszczurcze plemię, co zawiodło
Zawrotne tany odmętnego ruchu.
I wrzał ów odmęt aż zgryzoty piekło
Żywemi łzami z ócz czaszki wyciekło.

VII.

A wtedy nastał wtóry okres próby:
Przynęcon próżnią przylazł pająk gruby,
I jak pokutnik jął po zbrodni szale
Na progu celi pracować wytrwale.
Na pustki, które znękał gad i człowiek
Zwolna swą przędzę spuszczał zamiast powiek,
I z rosnącego tkanki onéj cienia
Sen zdał się spływać, łaska zapomnienia.
A nawet senną marą u jéj węzła
Sukienka maku polnego uwięzła.

VIII.

Skowronek bacząc, że lśni na niéj rosa,
Łowca brylantów wysunął się z prosa,
I w noc grobową zwabion oną gwiazdką,
Pod dachem czaszki usłał sobie gniazdko;
A w nim się okres zobrazował trzeci,
Gdzie duch się w mękach wyskrzydla nim [wzleci.
Więc po raz pierwszy ciepły wiew miłości
Z gniazda po suchéj biegł ożywczo kości,
I po raz pierwszy jak w kościaną lutnię
Pieśń zadzwoniła, i skrzydełek pióry
Całun pajęczyn podniósł się do góry,

A jawa za nim uśmiechnęła smutnie...
Ach! za grób błysnął aż w duszy banity
Pierwszy ten uśmiech ojczyzny odbity!...

IX.

»Pokutny duchu, oto boża łaska!...«
Skowronek w czaszki zaświegotał grobie,
I jak do zorzy tam frunął ku tobie...
Tyś zstępowała jak święta z obrazka,
I do leżącéj zbliżałaś się głowy...
Świt z oczu twoich ogarniał ją nowy,
A jéj spojrzenie bez wzroku, bez końca,
Szukało ciebie jako ślepy słońca...

Z chwastu i liścia suchego śmietnika,
Jak ranny promyk pieszczotą twéj ręki
Nagie i zziębłe ogrzewając szczęki,
Litośna! resztkę podniosłaś grzesznika;
I skroń spuściłaś, — a w tém włos twój długi,
Okręcon splotem bluszczanéj gałązki,
Nagle z zielonéj wyrwawszy się związki,
Oblał kość siwą dwiema światła strugi;
I przez mgłę złotych jedwabiów twe lice
Słało rumieńców żywe błyskawice,
Jak gdy jutrzenka mieni się różowo

Przez rąbek świtu. Cud nad trupią głową
Płonących jagód i widmo téj kości
W jednym pierścieniu stanęły światłości,
Co obejmować zdał się zrękowiny
Wszechmiłosierdzia i zgładzonéj winy.
W miarę jak wzrastał blask twego uśmiechu,
I w nim by narcyz kwitłaś ust karminy,
I w coraz żywszej włosa aureoli
Zalśniona czaszka tonęła powoli,
Cień z niéj widocznie zmazywał się grzechu,
I duch, co z chmury mąk mógł się wydostać,
Jak księżyc bielszą odbijał w niéj postać,
Uśmiechem twoim odklęty z pomroki,
Początkiem szczęścia dniał na swoje zwłoki...
Więc dziad korónkę jął szeptać w lip cieniu
O pięciorakiém Pańskiém Przemienieniu...
Ach! mię ta jedna nauczyła chwila
Jak w nieśmiertelność duch się przemotyla!...

X.

Kość ukazując wieśniaczéj drużynie,
Wyrzekłaś dźwięcznie jak szmer źródła w trzci-
[nie:
»— Pokój ci bracie! czas już spocząć w grobie,
Żywym dziś odpust, więc odpust i tobie!«

Boże! czyś zesłał nad ócz jego doły
Stróże sadzawki Syloe anioły
Poruszające dusznych wód źwierciadła?
Czy z modréj ciszy kropla rosy spadła?
Bom ujrzał czaszkę jak wezbrała sucha
Nieśmiertelnego niby płaczem ducha,
I w wykopanéj od śmierci krynicy
Łza się kręciła sama, bez źrenicy...
Aż tu — o cuda! — we łzie w oczu jamie,
Wnet wystąpiło rozgrzeszenia znamię,
I ta, co progi dnieprowe zaręcza
Z wiślaną tonią, zajaśniała tęcza;
A z bratków Rusi, z sióstr ich róż Korony
Łuk jéj nawzajem zdał się upleciony;
I zatopiona w kropli małéj wstęga
Z zemst wyschłéj czary w oczach moich rosła,
Aż niebios sięgła i stała w nich wzniosła,
Jak boska stuła, co dwa ludy sprzęga...
Czułem, że serca Polski, Ukrainy,
Sprzągł nią Baranek, który gładzi winy,
I że tą bramą z aniołem miłości
Cały mój naród wchodzi do przyszłości...

XI.

Stałaś nad czaszką tak otęczowana
Jak centyfolja w mokrych perłach z rana.

Jak z alabastru lampy na twe lica
Rumieńcem wyszła na wierzch tajemnica
Nieśmiertelności nad śmierci obrazem:
Byłaś śmiertelną i piękniejszą razem
Od wszelkich rzeczy, co się w proch rozpadną;
Śmierć twym uśmiechom zdała się podwładną;
Czar, w którym ziemia z niebiosy graniczy,
Otchnął cię zewsząd również tajemniczy,
Mający pociąg głębiny i dali,
Poranku wiosny gdy się wykrysztali,
Ciemni puszcz wonnych w uroczystą głuszę,
Wzdychania stawów gdy wód słychać duszę.
Jak lody wiosną przeniknion tym czarem,
Począłem tajać człowieczeństwem starém.
Czułem, że cudem tego otajenia
We mnie, nademną, wszystko się przemienia.
Łzy przed cudownym płynące objawem
Świat mi w zalśnieniu roztopiły łzawem;
I tylko modrzéj, bezdenniéj niż w świecie,
Wskróś łez, — z dna nieba, jako niebo trzecie
Błękit twych oczu zachwycał mię w siebie...
Ach! w oczach twoich było mi jak w niebie,
I zawołałem: Daj namiotu Boże!
Bym na mogiły wiekował Taborze!

XII.

Rozprzestrzenienia takiego doznałem,
Że ziemskie koło było sercu małém;
Więc błogosławić jąłem na wsze strony
Tak niespodziane ręki Pańskiej dziwy,
Nieba bezmiary i Polski zagony,
Dzień, wiatr, las, wody, kwiaty i pokrzywy,
Sam proch z mogiły był błogosławiony!
A echo pieśni nuciło za nami:
»Błogosławionaś między niewiastami!«
W słońce jak orzeł mogłem patrzeć ostro,
Było mi bratem tak jak trawka siostrą;
Wszechświat się związał miłości łańcuchem,
Krwią się uczucia spokrewnił z mym duchem,
Przyroda spójnią promienną lub ciemną
Światła, barw, cieniów, tak się zrosła ze mną,
Żem się stał wewnątrz jéj bijącém tętnem,
Odpustu istot ogniskiem odświętnem.

XIII.

Byłem przed cudem najwyższéj miłości
Jak ciasny parów, gdzie się noc rozgości,
I czarną dłonią omackiem wykradnie
Wszelaki obraz z wód drzemiących na dnie,

Żałobną połą dusicielka stłumi
Pieśń rozbłąkaną, co w zaroślach szumi:
Toć oniemiałość kładzie się w parowie
Na mowie dźwięków i kolorów mowie.
Lecz skoro ranek w głąb' przez liście tryśnie
Rumianą kroplą jako dzikie wiśnie,
Różowém złotem głąb' oczarowana
Wnet rozbudzonych wód powierzchnią wzdyma,
Mokremi dzwonków błękitnych oczyma
Do wschodzącego zacznie mrugać rana;
Leśnym balsamem powiewy namiękną,
Cały świat szmerów, miłości i woni
Z dna się parowu znienacka wyłoni:
Tak mię wewnętrznie rozświętniło piękno,
Tak pod twym wzrokiem jako parów dziki
Grą nieupłynnéj rozbrzmiałem muzyki.

XIV.

Gdy mię godowa osłoniła szata
Utkana z wzorów i tęcz tego świata,
I kiedym uczuł, że Salomon w chwale
Jak ja i lilja nie był tak wspaniale
W nadprzyrodzone acz król odzian blaski,
Bijąc się w piersi: — Panie, rzekłem, łaski
Nie jestem godzien, byś wszedł w moje serce,
Byś takiém słońcem rozgorzał w iskierce!

I jąłem wnętrzne tłumiąc rozjaśnienie.
Jak znój ze skroni ocierać promienie.

XV.

Z ust biegły do niéj samopłynne słowa:
— Witaj piękności z dawien dawna nowa!
Toć mi stworzenie stoi już kryształem,
Gdy cię śniertelny twarzą w twarz widziałem!
Na każdem miejscu i o każdéj dobie
Fale mych przeczuć szumiały o tobie;
Lecz wzrok w słoneczność niewprawion z początku
Nie mógł z wszechświatła wycielić cię wątku,
Bo serafícką postać własna chwała
Na wzór sześciorga skrzydeł zacieniała.
Tedym się tułał pod twych blasków mrokiem,
Śledząc cię sercem, odgadując okiem;
Wśród mienistego świata widowiska
Oku daleka, sercu byłaś blizka:
Czułem cię przy niém pod wiosny zasłoną
Z korónek kwiecia fałdowanych wiewem,
Jesień cię liścia tkanką ubarwioną
Pod farb tęczowym taiła wylewem.
By cię wyłonić krzak otwierał pączki,
Zdrój srebrne szerzył ku brzegom obrączki:
Gdy zorza chmurkę przypięła do skroni
Jam żądny czekał twarz-li twą odsłoni;

Gdy pod sklepieniem lasów w uroczyście
Milczącej gęstwie zaszumiało liście,
Jam się oglądał czy je wietrzyk pieści,
Lub czy tak lekko krok twój w nim szeleści,
I na brzóz szukał atłasowéj bieli
Czy w odpoczynku przelotni anieli,
Krwią róż lub farbą ze skrzydeł motyli
Twego imienia głosek nie wyryli.
Kiedy z méj piersi prosto jak z cięciwy
W pędzie tęsknoty niepowrotną strzałą
W górę, precz w górę, serce to leciało
Przez modry bezmiar jak przez polskie niwy:
Tyś w głębi nieba i na dnie tęsknoty
Skryta ciągnęła westchnień moich groty.
Często snem samym przebudzon w noc głuchą,
Gdy zwilgły księżyc ciemię lasów bieli,
Naglem się zrywał z samotnéj pościeli,
I pótym w ciszę chciwe wtężał ucho,
Aż coś niebiańsko na dnie jéj zagrało:
Ach! wówczas głos twój słyszeć mi się zdało,
I echo w polu goniłem do zorzy;
A gdy się ranek wyrumieniał hoży,
Krzewy patrzały na mą pogoń łzawo,
Słowiki główkę zwracały ciekawą,
A jam ich trelów niewzruszon uciechą,
Wciąż tylko gonił głosu twego echo,
W pieśni słowiczéj, w szmerze wód, w drzew szumie,
Jak w cichéj, białéj miesiąca zadumie...

Raz — pomnę, — słońce po nad borów łoże
Kraśniéj z węzgłowia róż dźwigało głowę...
Ukląkłem... zachwyt łkaniem ściął mi mowę,
Wołałem jeno: — Pięknyś, pięknyś Boże!...
W tém, aż mi w oczach zrobiło się ciemno
Od szczęścia... czułem, że stoisz nademną...
Jak pełną czarę wznieść się bałem skronie
Drżąc, że to szczęście przeleję, uronię...
Chwila ta trwała wiek czy okamgnienie
Niewiem... w pogodzie by odźwierciedlenie
Ujrzałem cienia, co już niknie w dali,
Świetelną mglistość jak w łonie opali...
Łez tylko balsam wsiąkł mi był we włosy:
Ach! to bzy na mnie płakały od rosy...

XVI.

A gdy w mych oczach stałaś teraz jawna,
Jaką niewidząc przeczułem oddawna,
Gwiazdo duchowa z bezdni ideału
Jak w mil tysiącach widna memu ciału,
Toć mię w pół szczęścia ogarniała trwoga,
Jak gdyby kurhan stał się tronem Boga,
I uroczystość zdjęła mię najświętsza,
Jak w światłocieniu kościelnego wnętrza.
Odwilż wiosenna, łzą perląca skrucha,
Lubość, złamaniu ustąpiły ducha,

Co pod brzemieniem upadał objawu:
Tak więc mieszkanka podolskiego stawu
Jaskółka morskie przebywszy otchłanie,
Mdłém piórkiem reszcie nie sprosta przeprawy,
Padnie na pokład wędrującéj nawy,
Czując nieboga, że sił jéj nie stanie;
Ku krajom wiosny tęskne zwraca oko,
A jéj skrzydełka bezwładnie się wloką:
I jam tak poznał, że się szczęścia morze
W skrzydeł méj duszy nie zmieści roztworze.
Wtedy mię piękna napadły męczarnie,
Gdy dusza czuje, że go nie ogarnie,
Gdy ptakiem wzlata ku niemu, a sieci,
W których uwięzła, mówią: nie uleci;
Gdy falą bijąc rozpieniona, wrząca,
O brzeg się własny więzienny roztrąca,
I jako fali rozbitéj kaskada
Na skończoności swéj mieliznę pada...
Gałązkę bluszczu zleciałą z jéj splotów,
Podniosłem, życie ważyć za nią gotów,
I dziewiczego towarzyszce czoła
Szeptałem głosem, co od łez omdlewa:
— Bluszczu, przecz wielkie obejmujesz drzewa,
A pierś ma cudu ogarnąć nie zdoła?...
. . . .

XVII.

Zimo! z mych wiosen najpiękniejsza wiosno!
Jakież z twych śniegów wspomnienienia mi rosną!
Tyś jedna biała nad mych dni żałobą,
Szczyt mego ducha ubielił się tobą:
Tak góry biorą nieskalane szaty,
Kiedy już w niebios wstępują bławaty.
Skra nieśmiertelna, co w twem łonie tleje,
Zdala mię blaskiem lodów twoich grzeje;
Tysiąckroć kartę niemą twą i białą
Wzdłuż i wszerz serce moje zapisało,
A każda śniegu polotka lśni głoską,
Co zamieć sama w treść mi zwiewa boską.
Lecz tam głęboko, pod wieszczemi słowy,
Kto w zasypane wejrzałby parowy,
I w twe się tajnie zapuścił na zwiady,
Na wzór rannego daniela ponowy,
Krwi méj serdecznéj odnalazłby ślady...

XVIII.

Tak — nigdy wiosna tyle w głębi borów
Nie rzuca kwiecia na odwilgłą skibę,
Ile w zamkowych okien każdą szybę
Mróz wtedy wszczepiał malowniczych wzorów.
A w srebrne niby zmartwychwstałe liście,

Jak z ciała z ziemskiéj wyzute zieleni,
I jak nas dwoje współzwiane przeczyście,
Ojciec niebieski siał kwiat swych promieni,
I w każdym zorzy lub nowiu promyku
Haftował łąki swoich tęcz bez liku.

Dla nas się działo czarodziejstwo boże,
Dla nas te cuda pozgonne przyrody,
Te na promieniu wiszące ogrody;
Resztą śmierć władła: mróz trzaskał na dworze.
We dni ciemniejsze straszny śniegów zawał
Grobową płytą widnokrężnie stawał,
A po nim wieczna tych pustek tułaczka, —
Zamieć włos siwy rozwiawszy jak płaczka,
Latała jęcząc, lub całun na szmaty
Darła i czarne zarzucała chaty,
Błagalnie przed nią ścielące swe dymy;
A głodne wilki pod biczem téj zimy,
Z kudły skrzepłemi w kolce od śnieżycy,
Z kłęby par w paszczy zziajanéj ze czczycy,
Wyły ze wtórem wyjącéj zawiei
Do drzew szkieletów, pod kostnicą kniei,
Pobielałemi bodących konary
Krąg szary, nizki jako sklep pieczary...
Lecz przy dantejskim z ołowiu kapturze
W dół nasuniętym na zim polskich burzę,
Czém były dziwy zamorskiéj natury,

Czém greckie z różu obrąbkiem błękity,
Czém włoski namiot na Alpach rozbity,
Czém królów złotem strop kapiący z góry,
Czém sama gmachu Piotrowego bania,
Przed którą fale hołdownicze skłania
Morze, i pokłon ściele step ponury?

XIX.

Z bladych mar ziemi w nas uciekło życie,
I dnem serc naszych tak płynęło skrycie,
Jak bystry ponik pod martwemi lody;
W nas zmartwychwstanie działo się przyrody;
W serc naszych dwojgu wszedł pierwszy pierwio-
[snek;
Wszech gęstwin tajnie, wszech łąk kwietne skarby,
Cudnemi w duchu zagrały nam farby,
Wszystek rozdźwięczał od słowiczych piosnek...
Tam skrzepły całun zwisł sztywnemi szrony, —
A tu się mienił cały świat wskrzeszony;
Tam gamą śmierci mrozu biegły kurcze, —
A tu nas ciepło rozwiośniło twórcze;
Tam żale wicher obciążyły zimny, —
A w nas jak pączki rozpękały hymny...
Tam się nad ziemią, skrępowaną branką
W śmiertelnéj bieli, tuman garbił szary,
Zazdrośny spojrzeń lazuru, jéj mary

Gęstą wciąż niżéj zapuszczał firanką: —
A tu jam czyste pełną piersią niebo
Pił, wdychał, chłonął, wysączał, — jéj oczu
Błękitne niebo: ach! w takiém przezroczu
Raj memu sercu przestał być potrzebą!
Szafir w kopalni i świeżość błękitną,
Jaką bławatki polskich łanów kwitną,
Znam; — w niezabudkach w chwili ich rozkwitu,
Z rosą dociekłem panieństwa błękitu,
I znam te brzegi, gdzie się niebo zdaje
Rzucać z miłości w mórz przemodrych łono,
Gdzie z fal niebieskich i z niebios, co toną,
Trzeci już błękit — duchowy — powstaje;
Lecz dwóch się bezdni wzajem zakochanie
Na przepaścistość tak modrą nie stanie,
I kwiat ma barwę podobną, lecz nie tę,
Co w Stwórcy tylko maluje poetę.

XX.

Ku tym błękitom duch mój rwał się cały,
Na wzlot się siląc w ich ciche bezbrzeże;
W dreszczu mych ramion drżeć się zdało pierze:
— »Skrzydeł mi, skrzydeł!« usta me wołały,
I próbowałem czy wlepionych w glinę
Piór z niéj nie wyrwę, z wiatry nie rozwinę...
Ach! pod takiemi musiała oczyma

Cała się w jednę łzę roztopić zima...
Tu ziemskie słońce gasło mi pomału,
Bo tam świeciło słońce ideału...
Z pośród tych blasków jąłem nawet w końcu
Ziemskiemu mówić tak z litości słońcu:

— Biedny tułaczu w zdartych chmur siermiędze,
Pocóż więc włóczysz twą niebieską nędzę,
Gdy bezpromiennych lic twych blask ponury
Tak smutnie patrzy przez łachmanów dziury?
Gdy jak banity z lazurowéj strzechy
Tak konająco tęsknią twe uśmiechy?
Gdy blade usta na skroń ziemi bladą
Już pocałunków ożywczych nie kładą,
Od których kwieciem rumieni się cała,
Gdyć się już w piersi moc wskrzeszeń przebrała?
Malarzu! całun zawisł na twém płótnie;
Lutnisto wieczny! rozbiłeś twą lutnię...
Struny więc blasków pozrywawszy złote,
Graj łkaniem wichrów, cieniem nuć tęsknotę!...
Lub kiedyś kochać, śpiewać stracił siłę,
Zajdźże na zawsze w czarnych chmur mogiłę;
Lecz na zachodzie nie naśladuj blizny
Na trupie mojéj zabitéj ojczyzny,
Ty, coś jéj rozgrzać i wskrzesić niemocny,
Nocnych grabarzy sługo, knocie nocny!...
Dla mnieś kagańcem wśród dnia: we mnie gości

Blask empirejski przedwiecznej światłości:
Przy świcie takim twe południa bledną...
Ach! za słońc krocie ja mam gwiazdę jedną,
Brylant jutrzenki, świetelnik miłości,
Rozpromieniony w dwojga ócz błękicie...
Twa wieczność żółwia: zegar twój daleki
Wieki na chwile drobi, a ja życie
Mierzę wiekami, w chwili żyję wieki!...

. . . .

XXI.

Jakiemiż barwy bladych słów opiszę
Starego zamku wspaniałość i ciszę?
Warowne baszty, co już zapomniały
Jak się pohańców odpiera nawały,
Jeno jak dziady dumy sławnych bojów
Szumiały głucho na strunach powojów,
Lub gdy je zima ubieliła szronem,
Patrzały w księżyc czołem osrebrzoném
Koroną blanków na lśniącéj zbroicy,
Niby hetmańskie widma na stannicy?
Ciemną głąb' komnat, gdzie na ścian makacie
W rząd kontuszowe stawały postacie,
Dumne, serdeczne, że za pas ich lity
Duch brać się zdawał Rzeczypospolitéj,
Że choć przed niemi czułeś nieraz mrowie,

Łza trysłać z serca, i jękłeś: — Ojcowie!
I nocne dziwy, gdy od skry z ogniska
Sejm cały w cieniów pogrzeban ogromie,
Z ram zmartwychwstawał i sunął ruchomie,
A z nim dal wieków widać było zblizka?
I owę ciszę zamkową Podola,
Bez dna i granic jak jego niedola?
Cisza się taka czasem tylko zdarza
Wśród pizańskiego cyprysów cmentarza,
Gdy w niéj z zamglenia wiekowego głębi
Włosy się cudnych złocą malowideł,
Uśmiech z rumieńcem zda się śnić niewieści;
Ale trwa króciéj, bo stado gołębi
W sieć marmurową dzwoni srebrem skrzydeł,
A choć odleci, — to echo szeleści...

XXII.

W ciszę tę potok wsiąkł szumiący czasu
Z szumem rzek zmarzłych, bezlistnego lasu;
Opięła struną w czasie i przestrzeni
Chwile bez szmerów, obszar bez zieleni;
Pod niemą równią w tajnie jéj głębiny
Wszelkiego życia spadły ustoiny,
Czas, przestrzeń skrzepły w jedno senne morze,
W tło przedstworzenne... Takie tło mój Boże!
Duch twój, co ciemność łanem świateł czyni,

Całe głosowi oddał téj twórczyni,
Niebo téj ciszy pieśni jéj rozświtom,
Jak ziemię w bieli jéj oczu błękitom.
Równie zachwytnie, nadziemsko, głęboko,
Głos jéj powtarzał co mówiło oko.
Na tamtym brzegu wielkiéj nocnéj ciszy
Gwiazd śpiewających stoi chór bez liku:
Stwórco! wszak w każdym niebios świetelniku
Głos rozdźwięczyłeś, co go człek nie słyszy
Póki uwięzion w swéj cielesnéj cieśni;
Jeno w gwiazd drżeniu widzi rytm téj pieśni,
Blask firmamentu jest tylko jéj ciałem;
Pieśń, co brzmi zblizka promieni się w dali,
Hymn niesłyszalny brylantem się pali:
A ja w blask patrząc pieśń gwiazdy słyszałem!
Tego ludzkiemi nikt nie odda słowy:
Świat martwy, głuchy, Stwórca dla odnowy
U stóp jéj rzucił. Cudem wzroku, pienia,
Wznawiała cuda pierwszego stworzenia...
Gdy myślą nakształt rajskiego banity
Pnę się do chwil tych niebotycznych wierzchu,
Widok przed memi oczyma rozwity
Ćmi się zawrotnie w słonecznym zamierzchu:
Zjawisko takie przedziwne, ogromne,
Że je odczuwam, lecz go nie przypomnę...
Przed snem tym złotym reszta życia mgława,
To sen na jawie, — w nim dopiero jawa!

XXIII.

W obec niéj byłem jako pierwszy człowiek
Gdy przez sen widział kształtu urodziny,
Co sam Bóg-rzeźbiarz lepił z jego gliny,
A cudna postać, choć otworzył oczy,
Wżdy stała, we łzach drżała mu u powiek,
Nietopniejąca wśród rannych przezroczy;
I czuł, że lubo Mistrz jéj dał swe lica,
Wprost mu z pod serca wyjęta dziewica,
Wpół piękność Boga, wpół sen jego łona,
We własne jego ciało jest wcielona,
Płonie rumieńcem urzeczywistniona:
I jak ptak skrzydła w pierwszym dzięków śpiewie,
Serce rozdwoił ku Bogu i Ewie.

XXIV.

Mnie do dziękczynień brakowało mowy:
Kląkłem współdrżący przy strun drżących wtórze...
Bóg przez jéj harfę jak okno w naturze
Świat klęczącemu pokazywał nowy:
Po nad wszechpieśnią przyrody bez grzechu
Pierwszą jutrzenkę raju w jéj uśmiechu;
Przeświecający bezcienne obrazy
Uśmiech jutrzenki gdy była bez skazy...
W złotych téj harfy ramach jak w obłoku,

Gdy wkrąg promienie fórtę mgły wyzłocą,
Nawet niebiosa pieśni jéj wszechmocą
Stały otworem śmiertelnemu oku.
Strun równie złotych dźwiękomowna krata,
Granica ducha czystego i ciała,
Nic ideału nie ćmiąc, odgradzała
Świat ów przedniebny od ziemskiego świata.
Ona już z tamtéj ważyła się strony
Natchniona, boska, że wić jéj korony
Zima musiała w wiosennym zachwycie;
Bo choć w podolskich lasach skrzepło życie,
Dąb snać w uściskach śmierci rozmarzony
Ócz tych błękitem, strzelił jéj na czoło
Zieloną we snach o wiośnie jemiołą,
Co do jéj włosów wnikła światłokola,
Wprost wniebowzięta z dąbrowy Podola...
Ach! pięknáż była jak mistrza natchnienie
Nim war swój w zimny puhar kształtu wleje,
Jak dla tułacza ojczyzny widzenie,
Jak dla dusz w czyścu rajskich wrót nadzieje:
Choć słońce trzyma w objęciu kropelka,
Na słów mych krople piękność to za wielka!...
Jam patrzał klęcząc z doczesności brzegu,
Z padołu płaczu i zadymki śniegu,
Z nizin méj polskiéj szarugi i zimy,
W sfer wiekuistych wszechbłękit rodzimy,
W sam środek raju z nędzą i zamiecią
Graniczącego wątłą strun tych siecią;

Jak w siódme niebo Paweł wzięty ciałem,
Nie umierając tak ja w nią patrzałem!...

XXV.

»— Ty, rzekłem dłonie składając, skrzydlata
I zstępująca ku mnie jak anieli,
Mów, ta więzienna acz złocista krata,
Czemuż me usta od stóp twoich dzieli?...
Ach! niech świat runie, niech przepadnę, byle
Bóg mi tę zdarzył pocałunku chwilę,
I ust mych twoja dotknęła się szata...
Byłem choć w pętach, w bezdniach, na urwisku,
Na desce między spienionemi wały,
Czuł, że jest anioł w rozbitka uścisku,
Czuł, że te usta cię pocałowały!...«

Z za strun spojrzała oczyma takiemi
Jak duch gdy pocznie zniżać lot ku ziemi,
A cud uśmiechu, co świeżył jéj lica,
Za dno mię serca chwytał jak kotwica:

»— Chcesz kratę skruszyć, rzekła, lecz bez kraty
Anioł ulecić gotów, bo skrzydlaty,
A nim twój uścisk na wiek go posiędzie,

Oku niejedną łzę przyjdzie uronić;
Jak ptak przed tobą wciąż umykać będzie
Do Grecji świątyń i na Alp krawędzie,
I gdzieś tam chyba da ci się dogonić!...

Wieszczba to była . . . .
. . . .

XXVI.

Teraz gdy dochodzę
Do szczytu życia na tych wspomnień drodze,
Pióro drży, serce puka, wzrok mój ćmi się:
Cień Boga przeszedł po mym rękopisie...
Pamięci moja, by nakryć te blaski
Dźwignij się słaba na podporze łaski!
Jak nad relikwią nad tym dniem jedynym
Cała się zawieś, rozłoń baldachinem!...

XXVII.

W zamkowéj sali siedziało nas dwoje...
Noc osępiła na przestrzał pokoje,
Strasząc z ich głębi czarną tajemnicą,
Z okien zaś tańcem białych widm — śnieżnicą.

Zewnątrz zawiała pola, wsie, dróg ślady,
Sam wśród powszechnéj nikł zamek zagłady,
Jak bóg się kresów utaiwszy w tuman,
Stał niewidzialny w nimbie i zaduman...
Tyś to podobno Ojcze! w twéj wszechmocy,
Chcąc raj objawić dwojgu twoich dzieci,
Skrył go w ciemnościach téj pamiętnéj nocy,
I odźwiernego wezwał do pomocy,
Ze srebrną rózgą anioła zamieci!...
Lecz wewnątrz zamieć, okropna na dworze,
Była nam szatą przeczystą wesela,
Uwzorowaną ręką Stworzyciela
Garśćmi urjańskich pereł na bisiorze!

Jak gwiazda lampa na komnat obszarze
Mdło antenatów muskając obrazy,
Krąg wykrawała świetelnéj oazy
W brunatnéj cieniów wieczornych Saharze...
I jak w oazie w około stolika
Bluszcz wił się, kwitły kwiaty z pod równika.
Harfa nas tylko dzieliła; przed nami
Leżał Torkwato zdobny rycinami
Z przekładem Piotra; — ona zaś nad kartą
Wieszczą na dłoni miała skroń opartą,
Drugą Armidy pieściła rysunek,
Gdy Rinald dał jéj pierwszy pocałunek...
Lampa blask śląca na włosów jéj sploty,

Warkocze w strumień roztapiała złoty,
Światłem z niéj saméj ozłacając całą;
Z pod nocnych gąszczów tak jéj lice dniało,
Że Stwórca musiał, by stworzyć tak jasną,
Wlać w nią nie zorzy jasność, lecz swą własną:
Jeno ku księdze z jéj spuszczonych oczu
Cień rzęs się słaniał po jagód przezroczu...

XXVIII.

O mój żyjący wszechpiękna promieniu!
Więzień w ciemnicy, pustelnik w swéj celi,
Nigdy w zachwytu niemém rozklęczeniu,
Tak prosto z nieba, szczeliną w kamieniu,
Zstępującego ciebie nie widzieli!...

XXIX.

Czy nas oboje nad stronnicą dzieła
Schylonych harfa nagle w akord wzięła,
Żeśmy przy sobie drżeli jak dwa dźwięki
Wylać z pod mistrza niemogące ręki?
Czy może była harfa ta aniołem,
Co składał skrzydła stojąc między nami,
I tak nas wzajem objętych skrzydłami
Zbliżał bezwiednie piór zwężoném kołem?...

Dość, że jak łódka na wód cichych biegu
Do piersi mojéj dobijała brzegu...

W téj chwilim uczuł, że zniknęła zima,
Że śniegów, nocy, zamieci już niéma...
Wskroś strun jéj oddech dolatał mię... Cała
Wiosna tak we mnie gwałtownie zagrała,
Że przez pierś moję jak do kwietnia świtu
Tłok kwiatów zdał się cisnąć do rozkwitu...
Włoskich bzów nagle owiały mię wonie,
Kręcąc zawrotem upojenia w głowie,
Biciem oskoły napęczniały skronie,
Jak pękające młodych brzóz pąkowie;
Ócz mych czółenka bez steru i siły
Po lic jéj świetle pływając się ćmiły,
Póki zasłony powiek łez mych brzemię
Przed blaskiem bóstwa nie ściągnęło w ziemię...
Wtedym już patrzał bez pomocy oka
Duszą w jéj duszę... Ciał naszych powłoka
Tak sprzejrzyściała, żeśmy wzajem jęli
Wskróś się przeświecać bez słów jak anieli,
I tak się wczuli w siebie serc zestrojem,
Że ziemskich dźwięków znikła nam potrzeba:
Harfa milczała, a muzykę z nieba
Serce jéj samo grało w sercu mojém...
W myśliśmy naszéj czytali krysztalni
Jak w Tassie, zwiani tchem już ust nawzajem,

Lecz tak duchowo jak na ubłagalni
Arki, cheruby skrzydeł zwiane skrajem...

Ze łzą świetlistą na różanym wstydzie,
Jak pączek z rosą i światłem w kielichu,
Do strun twarz tuląc szepnęła po cichu:
— Ach! gdybym była podobna Armidzie!...
Rzekła: — przez struny już mych ust gorączka
Łzę, blask, rumieniec, bozkość piła z pączka...

XXX.

Widziałem morze w źwierciadlaną ciszę,
Gdy pierś swą hymnem brzemienną wydyma
W łuk widnokrężny, i ku słońcu dysze,
I ognistemi wpatrzoną oczyma
Twarz słońca w śpiewne przepaści olbrzyma:
Lecz król dnia bezdni nie zgruntuje tyle,
Ilem ja zgłębił przez tę jednę chwilę,
I mieliznami naszych mórz otchłanie
Przy okamgnienia tego oceanie...
Czas mi zasłoną rozdarł się kościelną,
A jam już ujrzał duszą nieśmiertelną,
Pod pocałunku zwiewnym listkiem róży,
Jak cień wieczności bez końca się dłuży...
. . . .

XXXI.

W tém jęk się rozległ pośród nas ponury,
Stokroć powtórzon zamkowemi mury,
I zwolna tonął w wielkiéj nocnéj głuszy,
Jak płacz daleki z mąk czyscowych duszy...
A tyle było rozpaczy w tym jęku,
Że trwożna nagle cofnęła się w stronę,
I dłoń gorąca skrzepła w mojém ręku...
Snać pocałunkiem były przepalone
Struny u harfy, że tak nagle pękły,
I tak siostrzanym chórem razem jękły,
I coraz ciszéj w ciszy tak dokoła
Głos pożegnalny zdał się drżeć anioła...
. . . .

XXXII.

I minął miesiąc... W inną noc zimową,
Lecz jasną, mroźną, do zamku na nowo
Żądny pędziłem. Nad pędem mych sanek
I ziemią w bieli gwiazd się iskrzył wianek,
A migotaniem Syrjus mój w błękicie
Serca mojego zdał się dzielić bicie...
I było cicho, — jeno wichru dęcie
Ja i liść złoty czuł na firmamencie;
I martwo było, — jeno tak ogniście

Drgała myśl moja i gwiazd złote liście,
I z dróg mi obu wstęgą mknących mleczną
Gwiazdna się krótką, sanna zdała wieczną.
Aż wreszciem ujrzał powstający z jaru
Zamek snać różczką przemieniony czaru,
Dziwnie nad polem zmrożonem i śpiącem
Rozbudzon, świateł rozżarzon tysiącem,
Oczami okien rzucający łuny
Na czarny ogród i śniegów całuny,
A przerwą w ciszy granie brzmiało chyże,
I w szybach cienie migały się w wirze.

Zajeżdżam, wpadam... Wszędzie strojno, gwarno,
Świecisto, tłumu ściany nie ogarną,
W przezroczach gazy i w jedwabiów fali
Lśni białość ramion, płomień ócz się pali;
Z bezwonnem kwieciem brylantowa rosa
Stokroć pierścieńmi zaręcza się włosa;
Łabędzie piersi tańcem rozfalone,
Jak pianę rąbków ciskają zasłonę;
Śmiech po rumieńcach i po ust karminie
Motylem igra i powiewem płynie,
A żywą łąkę skoczny huk kapeli
Wije, tęczuje, zwiewa, mąci, dzieli...

XXXIII.

Więc pilnie wszystkie pocznę badać lica,
Szukając wszędzie gdzie moja dziewica,
By duszą skrzepłą w oddalenia cieniu
Zaraz rozmrozić, rozgrzać w jéj spojrzeniu;
By dni trzydzieści żalu i tęsknoty
Jak mgły o promień poroztrącać złoty,
I całą otchłań wnętrznych chmur bez końca
Jednem westchnieniem wyzionąć do słońca...
Lecz para miga przedemną po parze,
Jak lekkie chwile na wieków zegarze,
A jéj wciąż nie ma... Przebiegam pokoje,
Złocistéj tłuszczy rozpychając roje,
Ślące gwoździków woń i pomarańczy;
Przeglądam, pytam: mówią mi, że tańczy...
— Lecz gdzie dla Boga! i z kim? — Żaden nie wie;
Odpowiedź tonie w żarcie lub poziewie...

Od próżnéj tedy odstrychnion pogoni,
Czekam aż błogi traf mię zbliży do niéj,
W najdalszym sali usiadając rogu,
Przy drzwiach zamkniętych, u kaplicy progu.
Tam strun zerwanych nieład na uboczy
Okrywał harfę niby płaszcz warkoczy;
Stała samotna z oniemiałym głosem,
Jak płaczka złotym zapuszczona włosem...
Żalem mię zdjęło zapomniane drewno,

Co we mnie pamięć budziło tak rzewną,
I skroń jak dawniéj oparłszy znów o nie,
Patrzałem smętny jak tańczą w salonie...

Aliści nagle sam harfą zadrżałem,
I krew do serca buchnęła mi wałem,
Bom przez strun próżnię wraz obaczył dziwo:
Tańczącą postać, lecz przebóg! nieżywą...
Miała jéj rysy bez życia, wyrazu,
I podobieństwo, — lecz do jéj obrazu;
Nie była wcale wesoła ni smutna,
Zdała się tylko z wosku albo z płótna...
Niepomna szklanym spotkała mię wzrokiem,
I popłynęła za walca potokiem,
I znów śmiertelnym owiała mię chłodem,
I popędziła za par korowodem...
Zdrętwiałem... oczy w słup mi się roztwarły...
Jękłem... lecz jęki w gardle mi zamarły...
Włos wstał na głowie, i sam solnym słupem
Wstałem, i tkwiłem żywym niby trupem...

Aż tu drzwi za mną skrzypnęły kaplicy,
I wyrósł w progu starzec kościolicy,
A po kolana spływała mu broda,
Jako kaskady zamrożonéj woda;
I brzmieniem niby podziemnego dzwona:
»— Znam obie, huczał, ale to nie ona!...«

Słowa mię głuche z letargu zbudziły...
Dysząc poznałem dziada z pod mogiły,
Co kuty kostur wbił w głowę watażki,
Do jego błędnéj prorokując czaszki,
A potém szeptał korônkę w lip cieniu
O pięciorakiém Pańskiém Przemienieniu...
Składając ręce wyjękłem ze łzami:
»— Ojcze! czyś przestał modlić się za nami?
Czy to sen straszny? czym zmory igraszką?
Gdzież ta, co stała promienna nad czaszką?
A kto jest tamta, co nią kręci walec?...«
Dziad uroczyście rzekł podnosząc palec:
»— Anioł uleciał, a w miejscu niebianki
Portret bracławskiéj tańczy kasztelanki,
A jéj przeciotki z dworu Stanisława:
Patrz! ot na ścianie próżna ram oprawa...«
Spojrzałem... zgrozy przebiegły mię dreszcze,
A to, com ujrzał, jakbym widział jeszcze:
Na tle obrazu dworzanki Augusta
W kształcie osoby luka stała pusta...

»— Zeszła potańczyć... brzmiał daléj głos starca:
Rok sto dwudziesty kończę z końcem marca;
Byłem chrześniakiem księcia kasztelana:
A gdzieżbym nie znał córki tego pana?...
Bo też szalenie taniec to lubiło!
I w nim Królowi rzekła Jegomości: .

»— Myślę menweta tańczyć za mogiłą:
»Najjaśniejszego Pana proszę zemną!...«
A Król, co lubił rozmowę foremną,
I do tak cudnéj rozgorzał piękności,
Odparł zalotnie: »— Bogini, przy tobie
»Stanisław August gotów tańczyć w grobie,
»I poprowadzić za sobą do niego
»Rzeczpospolitą idącą gęsiego...«
I poszli wszyscy tam do ciemnéj sali
Tańczyć głęboko pod stopy Moskali!...«

A potém ryknął przeogromnym płaczem:
»— Ojczyzna w grobie, a my dotąd skaczem!
Więc Bóg i na nich i was zagniewany,
Dał kasztelance pójść też z wami w tany,
By ten kto niewie dowiedział się od niéj,
Żeście synowie ojców nieodrodni,
I że tu wolno pod wrogów szarańczą
Umarłym tańczyć kiedy żywi tańczą!...«
I płacz otarłszy końcem torby zgrzebnéj:
»— Idźmy precz, dodał, z reduty pogrzebnéj...
Słyszysz? na baszcie poczuły puszczyki,
Że tu hulają wewnątrz nieboszczyki...
Widzisz? ciekawe tańca kasztelanki,
Powyłaziły wzawody na blanki...
Zlatują, lepią do szyb mroczne skrzydła,
By zoczyć zbliska pląsy malowidła,

Po szkle takt walca znaczą dziobów zgrzytem...
A pfe jak patrzą!... W imię Ojca, Syna,
Wszak to grobowa stypa się zaczyna...
Duszno jak w grobach... Pod zimnym błękitem
Ochłoniem, synu, z dziwów wieczornicy,
Co stroi urok jakiejś czarownicy...
Hej! tam step śnieżny, wolny legł pokotem
Pod nakrapianym gwiazdami namiotem:
Bóg, co ten namiot rozpinał i zwinie,
Da, że zginiona pod nim nie zaginie...
Chodźmy jéj, synu, szukać, pytać o nią,
Aż ją błękity namiotu odsłonią!...«
Tu starzec widząc straszne me cierpienie:
»— Przez pięciorakie twoje Przemienienie,
Począł odmawiać z dłońmi złożonémi,
Zmiłuj się Jezu! nad tym synem ziemi!
Udziel mu Jezu! prędkiego ratunku!
Rozwiej w dzień biały czarne mgły frasunku!
Spraw, by przeczyste ideału zorze
Na innych wyżyn witał znów Taborze,
By się przekonał, żeśmy twoi wieszcze,
Uleciałego przesłańcy anioła,
Że prawdę głosim kiedy głos nasz woła:
— Ta, którąś stracił, niezginęła jeszcze!...«

W HELLADZIE.

W HELLADZIE.

I.

Choć całusami od lat dwóch tysięcy
Helios cię próżno Hellado ma! budzi,
Bo nim się ockniesz wystudza je więcéj
Od chłodu nocy zapomnienie ludzi:
Ocałowana i nawskróś promienna,
Ach! tyś nie martwa przecie, tylko senna!
Sennaś, bo w tobie podawnemu gości
Ziemska przytomność nadziemskiej piękności,
I ta żywotna nić się nie zerwała,
Co wiąże z ciałem ideał bez ciała:
Linja — swe śpiewne krągląca obłęki —
Na lutni świata widne oku dźwięki,
Łuk zakochania, jakim się nachyla
Do snu Erosa lot Psychy — motyla,
Lub w kroplejący całus zamieniona
Jasność Seleny nad snem Endymjona;
Łuk, jaki z puchów mlecznéj szyi przędzie
Do ust się Ledy gibanie łabędzie.

II.

Pacholę Eros prosto z pierwszą strzałą
Stęsknioną linję w zenit wyskrzydlało:
Lecz wraz o Grecjo! zaśmiałaś się wdziękiem
I magnes wdzięku ciągnąc ostrze grotu,
Strzałę od nieba odkochał wśród lotu,
Linję ku tobie zwiódł pierwszym obłękiem.

III.

Ta boska linja spadłszy z twych ołtarzy,
Ciągnie się jeszcze na twych dziewic twarzy,
A w twéj naturze połamać jej ciągu
Nie zdołał Wandal jak piękność w posągu,
Ni jéj dawnego odebrać znamienia,
Co dotąd boży to, co opierścienia.
Duchowiéj żenisz harmonją jéj wstęgi
Niż ziemia ziemskie z niebem widnokręgi,
I każde twoje poświęcasz nią wzgórze
Na trójnóg sybil lub bóstwa podnóże.
Złocistsze zorze, rumieńsze twe brzaski,
To jeno tkacze téj charyt przepaski,
A gwiazd brylanty gdy się przypną do niéj,
Żywiéj się palą — niby w boga dłoni...

IV.

Hellado moja! święte twoje imię
Słodsze mym ustom niż hyblejskie miody;
Gdy je wymawiam, taki dech swobody
Pierś mi rozdyma, tak swojsko, rodzimie
Wnet mi się robi, że jak z gór bieg wody
Polska ma dusza ku tobie ucieka,
I tylko w sobie czuję duszę Greka!...
Rytm niesłyszalny grający w marmurze
Rwie mię w twych kolumn — białych dziewic — [taniec;
Tak stąpam lekko, miarowo w ich chórze,
Iż pod mą stopą ofiarne się róże
Deptane wiją w niezwiędły różaniec.
I choć się w grecką skamieniały ciszę
Na kapitelach akant nie kołysze,
Coraz mię naglej, by dźwięk greckiéj liry,
Krągłość twych świątyń porywa w swe wiry,
Coraz zawrotniéj, jak menad kochanek,
Dyszących objęć odczuwam w niéj wianek.
I choć w zefirów tchnieniu, co go pieści,
Na kapitelach akant nie szeleści,
Mnie szumi w skroniach... jak brzegi puharu
Krągły twój uścisk upojenie leje:
Kropla zeń w duszę kapnęła nektaru,
I szum mnie mówi, że nieśmiertelnieję...

V.

Już boski Platon na piękna mię gody
Zawiódł, łyknąłem żywota bez końca,
Kąpię się w złocie atyckiego słońca,
Tak mię prześwieca, że chrztem wszechpogody
Grecki się ze mnie wyślicznia młodzieniec:
Skroń mi zieleni olimpicki wieniec,
U boku lutnia zwisła na chlamidę;
Przez twe przysionki szczęśliwy i dumny
Jak tryumfator albo oblubieniec,
Z wyciągnionemi ramionami idę,
Ściskam dokoła siostry me kolumny,
I chciałbym, gdyby usta tam dostały,
Na twego nieba różowych zachodach,
Jak na płonących kochanki jagodach,
Pocałunkami rozpłynąć się cały!

VI.

Jam znowu Greczyn! — o przytul do łona
Hellado moja, twego Ixiona!
Z twych osłońconych, przewiewnych podsieni,
Gdzie cień mój kładł się obok bogiń cieni
Na jednem łożu marmurowém, białém,
Z dali wśród kolumn, co się sini złota,
Z wiewów, co niegdyś igrały z mym włosem,

Z ech tych, gdzie cisza tęskni za mym głosem,
Wszystkie atomy dawnego żywota
Jak rozsypane ziarnka pozbierałem,
I z martwych ludów i stuleci wstałem!
Już ogrom wieków przespanych w mogile,
Ból, łzy, kajdany, gruzy, zgorzeliska,
Jak w krążek dymu nad życiem co błyska,
W tę się powrotu ulotniły chwilę;
Cały cykl czasów jam wskrzeszon kochanek
Na skroń mą w jeden zwił młodości wianek!
Życie w kwiat buja z wieków jak z nasienia,
W ust mych kwiat wieczny — wiecznego uśmiechu;
Już w nieskończoność wichrem przemienienia
Rozfalowana pierś się rozprzestrzenia,
Całybyby bezmiar wypiła w oddechu!
Tu — w pierś mi lećcie zewsząd greckie wiewy!
Ta jak widnokrąg wszystkie was pomieści,
A gdy się z każdym naszumi, napieści,
Wieczność da wszystkim, — zamieni was w śpiewy!
I w głosu mego popłyniecie prądach
W dal innych czasów i po innych lądach,
Moc dawnych cudów tchnąć w nowe stulecia,
A żaden w pieśń mą przewian nie uroni
Ani greckiego bohaterstwa woni,
Ani zapachu atyckiego kwiecia;
I znów wiew grecki, — wiew co nie umiera,
Budząc kwiat będzie wzbudzał bohatera,
Wiew Salaminy, Platei, Mikali,

Znów w polskiej duszy zagra tętnem stali,
Że tak jak hańba żadna śmierć nie boli,
A nie masz innéj hańby krom niewoli,
Gdy niewolnicy w duchu się poddali!

VII.

Widzę, poznaję ciebie ziemio grecka
Wzrokiem kochanka a pamięcią dziecka!
Krąg twój snadź dla mnie, com po wiekach ożył,
Tak idealnie wskróś się rozprzestworzył,
Tak mię jak matki czy lubéj ramiony
Nieśmiertelnemi otula imiony!
W rzeźbę przebielał by gzems nieboskłonu
Śnieżysty Pindos, grzbiety Helikonu,
Hymet, Cyteron i Parnas dwurogi;
W blaskach z ich dali aż do wzgórz pobliża
Niebo na roścież roztworzyło progi,
W objęcia ziemi spływem gór się zniża,
A tam gór wierzchem i tu dolin spodem,
W złotém zalśnieniu zewsząd korowodem
Ciągną sny wieszczów i przepiękne bogi,
Z litych tumanów niewyśnione puchu,
Pół się w powietrzu ważą a pół w duchu.

VIII.

Patrz! z mglanych rąbków chór się nimf obnaża,
Zzuł je... to białe wschodzą akropole,
Każdy śle pięknu szczyt zamiast ołtarza,
Każdy świątynię podnosi na czole.
Sam nią uwieńczon, wieńczy ją rozdzieńcem,
Niebo zwiał z morzem na kolumn podbicie:
Wycałowana w podwójnym błękicie
Od zorzy, dziewic płoni się rumieńcem.
Mgła wciąż sią słania... popłynęły gaje
Ciemnozielono ku przemodréj toni,
Cień mirtów niosą w falę źwierciadlaną,
Gęstwa pomarańcz wonny śnieg w nią roni,
A fala cicho po kwiat biały wstaje,
I mdleje wijąc ślubny wianek z pianą.
Jak w głąb' przezroczy zdoła sięgnąć oko,
Stem ramion morze ziemię w uścisk bierze,
A każdy uścisk staje się zatoką,
Zaś obluszczonym zatoka puharem:
Widzisz ten puhar, o ślepy Homerze?
Tyś go poezji napełnił nektarem!
Jak w pieśni twojéj dotąd on się mieni,
Gdy spojrzy Heljos, złotą barwą wina,
Gdzie zaś bławatków step się niby wgina,
Zbieram twe fjołki po mokréj przestrzeni...
Zewsząd wysp cudnych chór się twój wynurza,
Boską swą nagość kąpie syren stado:

Ta się rumieni jak stulistna róża,
Owa z par gazy tęskni perłą bladą,
Ta w kurz topazów rozdymia swe ciało,
Jakby już w ducha wyspy sprzejrzyściało,
Tamte się marzą jak cień niebieskawy
Wianków, co jońskie oplatały nawy,
Jako półsenne melodje w oddali,
Co zamiast echa światło gra na fali...

IX.

Dajcież mi wpleść się do tych syren wieńca,
Rosę poezji spijać z ich rumieńca,
Zajrzeć czy w toni pierś ich tajemnicza
Nie kryje mego ideału znicza,
Czy ta co z polskiéj frunęła zamieci,
Do greckich świątyń — jak rzekła — nie zleci.

X.

Lutnią do słońca nastraja się morze,
Drga strun swych złotem, tęskne hymnu ciska
Dreszcze przegrawek nakształt gwiazd mrowiska;
Więc zagram na niém, rytm wiosła położę,
I miarą pieśni łódź moja popłynie
Ku ideału błękitnéj krainie...

Jak grecka oda skanduje się fala,
Wiosło tak pasmem krągłych pieszczot idzie,
Jak gdyby chciało, gdy się w głąb' wkrysztala,
Pierś ocyrklować każdéj nereidzie,
Okrąglejącą przez błękit i żywą
W węzła brylantów uwięzić ogniwo...
A wianki piany i wód złota łuska
Strunny dźwięk mają gdy je wiosło muska;
Gram, sperlam tony, perły topię w dźwięki,
Lutnia bezmiaru słucha mojéj ręki...
Wszak sny piękniejsze i bogom się nie śnią:
Po mórz tych lutni przesuwać się pieśnią!...

Już nów od wschodu blado wysierpiony
Srebrném czółenkiem mknie ku wspólnéj mecie;
Nie chce z mą łódką idąc na przegony,
Dać się na ziemi wyścignąć poecie.
Biały pływaczu! płyniesz zbyt pomału,
Ja cię uprzedzę na ląd ideału,
Bo żadne czółno nie wié o tym lądzie,
Póki poeta u steru nie siądzie!
Nimf współpłynących wiatr unosi kosy,
Mokry ich jedwab na skroń mi rozplata,
Pieszczota wiewów jak niebianek włosy
Pocałunkami wkoło lic mi lata;
Nie widzę, — czuję musk, miękość, pierścienie,
Zapach ambrozji, — wdycham ubóstwienie;

W czary swych objęć wzięła mię Hellada,
Nie płynę, — łódź się w objęcia zapada!...

XI.

W tém zadrży serce... wionął rąbek mglany...
Toć zapuszczona nim oblubienica,
Na stromie wyspy już staje świątnica,
I biała patrzy przez złote tumany...
Jak dzień pogodna, — poczekaj, zaświeci;
Jak ptaszę lekka, — zniż głos, bo uleci,
A tak wiosenna, że gdy maj rozświtnie,
Po lat tysiącach akant jéj zakwitnie...
Dla jéj to kolumn w fałdowanéj bieli,
By wyhaftować liść jéj kapiteli,
Miłość się nieba ściele wszechbłękitnie.
Tak ją zaś słońce wkrąg ocałowało,
Że się z ognistych ust Feba — kochanka
Uwiała złotych pocałunków tkanka,
Co nieśmiertelnie przyzłociła całą.
Cień się ołtarza samotnie w niéj kładzie,
Żagiew się ofiar skurzyła na wieki,
Jeno puch mglany jak dym ich daleki
Tło aksamitne usłał kolumnadzie;
Dokoła pustki...

XII.

Są miejsca i kraje,
Co choć w nich nigdy nie byłeś cieleśnie,
Pomnisz jak przez sen, snać widziane we śnie,
Oko ich niezna, lecz serce poznaje...
I ja też sercem poznałem z daleka
Białą świątynię, zgadłem że wpatrzona
W dal, bo wygląda łodzi Ixiona
Ze skał, bo tęskna od wieków mnie czeka.
Witaj więc, witaj! zwieszczona wyrocznie,
Gdzie serce spocząć niemogące spocznie!

XIII.

Żądny przybijam...! Stroma się dróżyna
Kręto nad falą migotliwą wspina,
Lśni się muszlami i śle zapach mięty,
A bluszcz — druh dawny — zobopól rozpięty,
Szczebluje zemną strzępiąc mkłe wisiory.
Im wyżéj, łzawiéj po przez skał otwory
Obwstążkowane niemi toń modrzeje;
I tém okwiciéj blask natchnienny, jary, —
Hymn z lutni Feba, — z szafirowéj czary
Pieśni mi pełnią na czoło się leje.
W świątyni głucho, — tylko we framudze
Na bluszczu ptaszek kwili w słońca strudze,

W złoto zachodu perły nut mu dzwonią;
Cisza przepachła asfodelu wonią;
A wśród tej ciszy dusza z tym powojem
Przed tajemnicą drży jednym nastrojem...

XIV.

O ty, do której w sercu mém jak morze,
Gdy do gwiazd krociów krocmi fal się miota,
Mirjadą westchnień faluje tęsknota,
Piękności wieczna! nieznajomy Boże!
Której spojrzenie wewnątrz pierś mi pali,
Czémże cię uczczę i jakąż ci sprawię
Nową przed nowym objawem ofiarę,
Coby jéj greccy kapłani nie znali?...
Wiem... ot z tułaczych biesag złotą czarę,
Wstępień twych tajni, wyjmę i postawię
Na tym ołtarzu... Onać jedna stanie
Za wszystkich ofiar wszechofiarowanie!
Świętość świętości niegdyś dłońmi temi
W żar niezgasisty brantu jéj wsypałem
Garść prochu: garść to była polskiéj ziemi,
Przesiąkłéj łzami, krwią a ideałem;
Więc sercem do niéj tak przywrzałem całém,
Że odtąd jemu stało się zagadką
Czym syn Hellady lub Polska mi matką?
W ziemi tej bowiem tkwi nakrztałt nasienia

Największa w świecie moc uduchowienia,
Czyniąca każdą grudkę z jej odłogów
Godną spoczywać na ołtarzach bogów,
Zdolną dno grobów porwać do rozkwitu,
Proch uniebieśnić cudami błękitu...

Lecz gdzież kapłanka, któraby wraz zemną
Jęła sprawować ofiarę tajemną,
I jak gołąbki białe a skrzydlate
Podniosła w niebo toczyste ramiona,
I na lazurach greckich rozskrzydlona
Podała bóstwu przeczystą obiatę?...
Kapłanko, siostro czy oblubienico,
Zleć na obrządek, zlećże gołębico!...

XV.

W tém głos podobny fal z echem rozmowie
Odzownych kolumn odśpiewem mi powie:
»— Próżno jéj wzywasz... kapłanka uśpiona
W krypcie pod skałą czeka Ixiona...
Skoro więc gwiazda Wenus się ukaże,
Mrugnięcia strzałkę utkwi w lśnistéj czarze,
Znijdź, znieś dar, odczep formingę na ścianie
Graj pean: wnet się ocknie przy peanie«.
Spojrzę... aż starzec niewidzialny prawie

Na spadłych fryzów siadł rzeźbionej ławie,
Łatając niewód; współszary i cieniem
Słupa zasinion, rzeźb był przedłużeniem,
I gdyby ludzkiéj nie zdradził natury,
Zmarmurowanym rzekłbym go z marmury.

XVI.

Posłuszny czekam wyrocznej więc chwili,
Co mrok mi życia w blask szczęścia przesili,
A tu dzień grecki, — poemat otwarty,
Zwolna się składa Hezjodową księgą,
Nieba i morza już obydwie karty
Zwiały się, rapsod słoneczny wydarty
Z pośród nich, krasną zastąpiwszy wstęgą.
Jak pełny krater w biesiadnika dłoni
Toń wygładniała, ledwo po ust wiewie
Znać, że mu luba skroń na ramię kłoni:
Ślad dziewiczego oddechu na toni
Widny precz w senném muśnięciu co goni,
Słyszalny w cichym u brzegów przelewie...
Choć Heljos usnął na skrzydlatéj łodzi,
Którą z Hesperyd wraca tam, zkąd wschodzi,
W dali przez rąbek par, które się sinią,
Jeszcze wód atłas przeziera brzoskwinią,
Bliżej zaś bezmiar mieni się wspaniały,
Nakształt słanego z modrej mory łoża,.

Lub niwy, którą sztaby naw zorały
Na nocny zasiew gwiaździstego zboża.
We mgle przezroczéj, w koło wysp wierzchołków,
Łan już zakwita ulotnionych fjołków;
Już tu podemną, gdzie pionuje skała,
Głąb' w tajemniczą bezdenność ściemniała,
A tam z hjacyntem centyfolja blada
W niéj się roztula jeszcze czy opada...
Lecz na stulistnych oto róż pościeli
Anadjomena z fal się też wypienia,
Drży orosiała, zziębła po kąpieli,
I wraz brylantu migotaniem strzeli
Do pochyłego nowiu półpierścienia.

XVII.

Skoro zabłyśnie rybak rzuci sieci,
W dół mię o zmierzchu, co różowo świeci,
Wiedzie stopniami wykutemi w skale.
Każdy z nich w blade zróżowiał korale,
I w koralowo obramione wrota
Sklepi się czeluść, gdzie z za bluszczów grota
Łuk stalaktytów otwiera na fale.

Starzec przedemną w głąb' jaskini rusza,
I przystanąwszy, zwyż mi na krawędzi

Wskaże złotostrun prastary i rzecze:
»— Patrz a podziwiaj pamiątkę człowiecze!
Forminga owa, gdzie wiatr morski gędzi,
To czarodziejska lutnia Orfeusza!
Lasy z wądołów spiesząc na jéj brzmienie,
Jak więźnie pęta, targały korzenie,
Echo z jéj dźwiękiem tak się rozstać bało,
Skała zaś z echem, iż biegła za skałą;
Chór syren strun jéj oniemiony wtórem,
Słucha jéj dotąd wysp się stawszy chórem;
Toż Eurydyki cień mocą jéj czaru
Mistrz chwycił w akord i wyrwał z Tartaru;
Lecz sam śmiertelnie spragnion łzawych oczu,
By się niespalić u piekieł podwoja,
Łyknął ich blasku, — i zaraz w zamroczu
Głos jękł kochanki: »— Ach! jam już nie twoja!«
Jeszcze w formindze tkwi moc zaklęć... przeto
Zbliż się i zdejm ją śmiało, Ixionie!
Ześmiertelniałeś: — odstań się poetą!
Skręć nieśmiertelną wypopiel w twém łonie,
I spleć jéj blaski z gwiazdy téj promyki
W natchniony pean dla twéj Eurydyki,
A wnet kapłanka z krypty swojéj wionie,
I w jéj postaci wnet ku tobie zleci
Ta, która z polskiéj frunęła zamieci!

XVIII.

Zachwycon wieścią, zbezprzytomnion prawie
Ziemskim powrotem w nadziemskim objawie,
Ramieniem drżącém pod wzruszeń nawałem
Formingę, którą z kurzu odmuchałem,
Chwytam, na skale obok czary stawię,
I grać zaczynam...

We wnętrza mrok szary
Wnikał róż brzasku przez otwór pieczary,
A nów z mrocznicą tajemniczo, blado,
Mżyły weń srebrem lśniąc pod tą arkadą.

XIX.

I oto grota od zaklęć peana
Staje do razu jak zaczarowana:
Głąb' jéj odgłośna gdy w nią akord padnie,
Wnet go jak puhar mąci z brzaskiem na dnie,
Wnet jak pierś żywa albo miech organa
Wzdycha nim cała, i w tonów odmęcie
Odmętem cieniów faluje zaklęcie;
I wraz już rytmem w kształt się wiążą cienie,
Tony jak w echo dłużą się w promienie,
Tło się rozjarza, i na tle tém nuta

Pocznie już postać rzeźbić na wzór dłóta...
A ja gram ciągle... Strun mię tylko krata
Od cudu dzieli, a przez nią zalata
Wiew, jaki jeno w Polsce czułem wiosną;
Gdy razem z chłodém tającego śniegu
Obiega ciepło wiosny, i w obiegu
Tchnie tchem pierwiosnków, co pod śniegiem rosną;
Gdy tam trwa białość, tu już widać zieleń,
I stoisz niby między dwojgiem wcieleń,
Na niewinności i miłości brzegu...

Z Olimpu, z raju, zarówno cię witam
Poezjo nowa! tchnień twych dwoje chwytam,
I gram, gram ciągle... Serce rozwiośniałe,
Dłoń, pierś, myśl, czucie, gra jestestwo całe...
Już tak nie zagram... Wszechmocy twéj Boże!
Jam uczestnikiem został w tym peanie!
Jak mig twój wieczny gdy przeszył otchłanie,
Czuję, że także pieśń ma tworzyć może:
Światło się staje gdy gram: Niech się stanie!
Tak jak Ty słowem ja mą gędżbą tworzę,
Gędźbą z nicestwa zjawisko wygrałém,
I sam znów tworzę tę, co ukochałem!...

XX.

Ze strun wysnute dotknięciem méj ręki
W przedziwne rysy już tężeją dźwięki,
Już skrzepła gędźba w cudo lic się składa,
Jak gdyby wszystkę grywalnemi spływy
Linji swych śliczność w jeden posąg żywy
Z posągów kroci zlewała Hellada,
I przez formingę natchnienie płynęło
Wszech jéj natchnieńców w jedno arcydzieło.
Czyż mi się w grocie rozchyla na poły
Głąb' greckiéj duszy, gdzie się piękno wciela,
Czy fali greckiéj, téj bogiń rodzicy?
Lub się z innego nieba tajemnicy,
Wypiastowanéj pomiędzy anioły,
Zwierza mym oczom dusza Rafaela?...

»Ach! to ty razem z dwojga nieb, jednaka
W Polsce, w Helladzie, wszędzie, zawsze taka,
Jaką me oczy pierwszy raz witały,
Promieniejącą nad czaszką u wzgórza,
Gdym śnił, że matką twą majowa róża,
A ojcem tobie polski kłos dostały!
Choć w skał i wieków cofniętaś omroczę,
Świt podawnemu sieją twe warkocze,
Wdzięk cię pierwiosnków jak dziecię obleka:
Anioł z charytą znali się zdaleka,

Póki cię widzieć chcąc gdyś tak uśpiona,
Z odmiennych niebios niezbiegli się razem,
I wspólnym nagle zbratani obrazem,
Niepadli sobie nawzajem w ramiona!...
Ty śpisz o luba! pączki twego łona
Rodząc się ledwo zdradzają oddechem,
Jak rym dwóch pierwszych pocałunków echem,
Gdy słowa jeszcze wydać serc nie śmieją...
Nigdy dwie fale tak krągło nie mdleją,
Tak cicho, senno, rytmicznie u brzegu,
Ni tak dziewiczo na pomarańcz śniegu...
Więc powróciłaś! więc tyś moja wreszcie!
O w pieśń powrotną dłonie me uderzcie!
Oskrzydl się lutnio do wyższego wzlotu!
Gwiazdo, księżycu, falo! stańcie w chórze,
A gdy ja zagram, po całéj naturze
Niech dreszczem bieży mój pean powrotu!
Powrót — to zenit wszelkiego wesela,
Wśród dni stworzenia istot wszechniedziela,
Za cel wytknięta wiecznéj ich tęsknocie;
Bóg drogi planet, gdy ich sypnął krocie,
W powracające pozataczał kręgi,
By na zapalne *stań się!* Stworzyciela,
Na żywych kartach szafirowéj księgi
W gwiazd strofy rozbłysł pean o powrocie!«

XXI.

A teraz w struny uderzę wyroczne
Na inną nutę, — pieśń budzoną pocznę:

»Ocknij się luba! wstań, patrz: — myśmy sami,
Dwoje nas tylko znów jak ongi w sali:
Salą tą wszechświat; odświętnie nad nami
W złotych pająkach świateł miljonami
Nieskończoności strop się cały pali!
Jak puhar w cieniu krąg się mórz rozłania,
Księżyc ust miejsce wysrebrzył na czarze:
To Bóg nam wieczność podaje kochania
Chwil swych bezlikiem skroploną w puharze!
Oto wieczności kroplę w każdéj chwili
Śle nam, — wszechświata wieko migotliwe
W górę, jak krągłą puharu nakrywę,
Wzniósł, trzyma, czeka, byśmy się napili!...
Wstań i chodź zemną!... Widzisz na fal drżeniu
Jak nów most srebrny ściele nam pod nogi?...
Chodź! przebielała w posąg, na ramieniu
Zwisła mém, tędy wstąpisz między bogi!...
Luboś ta sama, jam już nie ten przecię
Co w noc zawiei, w zamku, na Podolu,
Gdy polska harfa pękła, gdym jak dziecię
Płakał od strun jéj pękających bolu!...
Jam znowu Greczyn! dzierżę gęśl Orfeja,

Gęśl nieśmiertelną, co pęknąć nie może.
W tych strunach niebo: polska pieśń — nadzieja
Jak w niebie milknie. Lutnia czarodzieja
Miłość gra tylko gdy dłoń nań położę!...
Jam światowładny! — całą ci przyrodę
Pokłonem nagnę jak do stóp królowy,
Bóstw greckich tłumy mkłe, odwiecznie młode,
Z ziem i wód tajni czarem strun wywiodę
Z pochylonemi jak łan złoty głowy.
Głos, dźwięk mój każdy tchnie w zmilkłe wyrocznie,
By słowo *kocham* brzmiało ci z ust głazu;
Wszystkieć natchnienia wieszczów unaocznię,
Byś w nich mą duszę poznała od razu,
By ci się duszy rozwarła głębina
Aż tam gdzie bóstwo już się w nas zaczyna,
A wieczna piękność i myśl ludzka — obie,
Bez śmiertelnego pomocy obrazu,
Już wzajem patrzą oko w oko sobie!
Chodź!... łąk i pieśni kwieciem cię uwieńczę,
Na wianek tobie czy na aureolę
Pozbieram z kaskad i z motyli tęcze
Z chmur pozdejmuję, z brylantów wyzwolę,
A potém pieśń mą objęciem ci rzucę,
I krąg wszechświata w jeden uścisk skrócę!...
Wszystko to, wszystko wylutni me ramię,
Tylko blask oczu odciem i spójrz na mię!...
Ach! już się budzisz! widać to z oddechu...
Ach! już w ust różę promyk ci uśmiechu

Wnikł, jak w pól dali światła smug uroczy
Nim wzrok się słońca zblizka wyobłoczy...
Zdwój więc czar lutnio! zbierz potęgi pieśni
W najwyższy akord, co senną roześni!
Ty Eurydyce niosąca ratunek
Wytęż się! zbliż ją do strun złotej kraty!...
Tu... jeszcze bliżej... aż usta w przed laty
Niedocałowan zgrasz nam pocałunek!...«

XXII.

Pean się wzmaga i tonów potęga
Od wód już bezdni do nieb wierzchu sięga:
Bóg zda się całe ostrunił stworzenie,
Bo drżenie strun mych w gwiazd się dłuży drżenie;
Zda się, że lutnia w bezmiar olbrzymieje,
Na bunty wije skrawe sfer koleje,
Skry spieśnia w dole, pieśń roziskrza w górze,
W chór dźwiękodajna wszystko rwie. — W tym
[chórze,
Co gmachy dźwięków rzuca na step ciszy,
Słuch wszystkie głosy ześpiewane słyszy,
Co słowo *kocham* mawiają w naturze.
Nawet o cuda! bezgłośne te twory,
Co mową mają blask, woń i kolory,
Jaźń swą najskrytszą malują zarazem
Nie barw już tylko, lecz dźwięków obrazem.

16

Po raz się pierwszy w naturę niemową
Wciela miłości całkowite słowo;
Z jednéj się tajni drżąc wzajem spowiada
Liść lasów gwiazdom, lasom gwiazd gromada,
Jak pierś żywioły, jak usta otchłanie
Jedno miłości śpiewają wyznanie...
I ze wszechpieśni lutnią Orfeusza
Wykołysana by z dymu ołtarza
Albo z pian morza, grecka się już dusza
Jak Afrodyta widomie obnaża:
Oto jak rosa na gęstwie sperlona
Cudne na dźwiękach drżą postaci grona;
Na tęczy chórów jawna się rozwdzięcza
I lśni z bóstw, syren, nimf i menad tęcza;
Wszystkie zawisły jak przezrocze ciało,
Co duszę pieśni kształtem dośpiewało...

XXIII.

O matko moja! ziemio, polska ziemio!
Pieśnianéj w tobie mocy nie oniemią
Ni łzy wypite, ni groby, ni ludzie!
Bóg posiał cuda i w twéj błędnéj grudzie;
Gdy syn twój w obce zabłąkan z nią kraje
Gwiazd w górze, Boga w sercach niepoznaje,
To ciebie pozna, żeś polska — po cudzie!
Sam gdy do natchnień rwę się w sobie zwrotką

Czuję się matko! twoją jeno grudką:
Moc to pieśniana tkwiąca w polskiéj glinie
Żar słońc roznieca w marnym mym popiele,
Onać to gore w tém śmiertelném ciele
Jak śpiewający płomień w serafinie!
Więc też niemogły w czarze od téj mocy
Prochu atomy niewstać jak prorocy!
I cud się dzieje: — oto nieméj bryle
Jak żywej piersi Bóg śle natchnień chwilę;
Tajna jéj dzielność zaklęciem rozwita
Jak w pól bławatki tak w tony rozkwita;
Tęcz kwietnych zaród w brzmień rozlany gamy
Wszystko co cierpim, do czego wzdychamy
Maluje, pędzi w strumieniącéj dumie:
Serc słychać krocie w polskich lasów szumie,
Wierzb i brzóz płacze, i śpiew zabłąkany,
Między cmentarze i po nad kurhany;
Szczęk starych zbroic, kajdan, surmy, łkania,
Śmiertelną głuszę, — po niéj bicie w dzwony
Nagłe, gwałtowne, i w niebo strzelony
Z wnętrzności mogił hejnał zmartwychwstania.
Hymn bezprzykładny ze skiby wysnuty
Wezbiera Grekom nieznanemi nuty;
Pieśń ta naprzemian pieściwa i grzmiąca,
W brzmień zmroku tęskni szara, wzdychająca,
To znów w ich zorzy rumieni nadzieję,
O krańce ducha rozskrzydlona trąca,
Z garsteczki prochu nieskończoność leje!...

Gram, aż tu głosów rodzimych kaskada
Z czary na lutnię jak ze skały spada,
Dłoń mą porywa, wtór przyspieszać zmusza...
Pean się mąci... pieśń polska, o dziwy!
Uderza wałem o gęśl Orfeusza;
Na greckim rytmie siada rytm burzliwy
Jak dech bezmiaru, co na strunach dzwoni
Tempo proporców we czwale pogoni,
I wichru skrzydeł lecącéj odsieczy,
I tempo słońca w błyskawicach mieczy,
I grecką ciszą w pieśń rozpiętą miota
Jak wszechmodrego bokami namiota...

XXIV.

Formingo grecka! w śpiewnéj strun twych cieśni
Zmieścić się nie mógł ogrom polskiéj pieśni:
Mknącéj nad ducha przepaściami gamie
Za ciasno było w twéj rzeźbionéj ramie:
Więc pożegnalny jęk wydawszy jeno,
W twym złotowłosym pękłych strun całunie
Wraz konająca stanęłaś syreno!
I na zerwanéj współdrżące z nią strunie
Niby jéj echo — cudowne widziadło
Bezcieleśniało, nieznaczniało, bladło,
A serce z łona szarpnięte mi za niém
Nieznaném w zgonach pękało konaniem...

XXV.

W tém głos się ozwie: »— Twoja Eurydyka
Jak Orfejowi znów ci z oczu znika,
Boś zerwał struny obcéj pieśni siłą...«
Spojrzę... poznaję wtedy przewodnika:
To dziad z Podola, co stał pod mogiłą,
I szeptał niegdyś korónkę w lip cieniu
O pięciorakiém Pańskiém Przemienieniu...
A on zaś ciągnie: »— Nie mógł nastrój złoty
Znieść polskiéj pieśni, peanu tęsknoty!
W dźwięków swych skali, by go grać w twém
[ręku,
Nieskończoności nieposiadał dźwięku!...«
To mówiąc, rośnie pod dzikiemi ściany,
Opad ostatniéj róży na zachodzie
Na swojéj siwéj odbijając brodzie,
Stoi w nim cały tak śnieżno-różany,
Że jak anioła spamiętam na wieki...
A tu jak pszczółki z podolskiéj pasieki,
Gdy w złotobrzęcznym kryły dziada roju,
Tłum bóstw tęczowy jak oprzęd pajęczy,
W okrąg rozpierzchły pęknięciem nastroju,
Z urwaną pieśnią roi się i brzęczy,
Wyczarowana na chwilę Hellada,
Niknąc na zawsze żegna niby dziada...

XXVI.

On zaś jak w Polsce kiedy stał nad ulem,
Mar tych wyroju zda się siwym królem;
Odczynia każdą na odlocie postać,
Co się do niego przywiewa, by zostać:
»— Lećcie, powtarza, o greckie motyle!
Pieśń utajona w polskiéj ziemi bryle,
Rwąc struny, gusła odklęła Orfeja
Tony, co zwą się, ból, wiara, nadzieja!
Lećcie więc zwiewne w cieszejącym chórze
Jak w sarkofagu spoczywać w lazurze!...

XXVII.

Potém zaduman wzdychał tak powoli:
»— Oto cię śliczna, niebieska Hellado,
Do snu wiecznego motyle już kładą,
Bo wiesz co szczęście, skrytém ci co boli,
Więc musisz w szczęścia wiekować niewoli!...
Gdy o ból pytam dwojga z tych tu cieni,
Njobe z zagadką śle mię do kamieni,
A kiedy badam zaś Laokoona,
Jęczy przez straszną skrępowany żmiję,
Że ból jak kręte gadu tego dzwona
Wkoło pokoleń rozpacznie się wije,
Wężem wieczności ludzkość opierścienia,

Aż mu ofiara beznadziejnie skona!
Dla nich się prosto ból nie rozramienia
W nasz krzyż przydrożny, ciągnąc struną złotą
Drogę bez końca ramion swych, co bierze
Jęk w akord wspólny nadziei i wierze,
Na polskiéj lutni nazwany tęsknotą!
Hebo natchnienia! z dzbanu, z którym stałaś
Wiecznéj młodości splot róż nie opadnie;
Lecz gdy zeń ludziom nektar bóstw wylałaś,
Kropli balsamu nieznaleźli na dnie,
I rzekli: »— Bolu zagadki nie zgadnie!«

XXVIII.

I zwrócon ku mnie kończył: »— Moje dziecko:
Próżno formingą wyczarować grecką
Chciałeś kochankę znikłą w noc zawiei:
Nagle pieśń bolu, wiary i nadziei,
Przedwiecznym w skibie rozwiązana czarem,
W greckim się z polska odzywając chórze,
W skończoność grecką wtargnęła bezmiarem,
Pean miłości stłumiła w naturze:
Urwany zbudzić nie mógł już dziewczęcia,
Ni przez próg lutni zwabić w twe objęcia...
Lecz nie płacz synu! luba twa nie zginie!
Greckie jéj wrócić nie mogły świątynie,
Więc idźmy daléj szukając jéj wszędzie,

Idźmy gdziekolwiek zjawić się przyrzekła,
W inny świat piękna, tam na Alp krawędzie,
Do raju Danta z Orfeusza piekła:
Tu Eurydyki zaszło w noc oblicze,
Tam świta uśmiech, wschodzi Beatrycze!...«

I już ptak biały w białych żagli cieniu
Szeptał korónkę swą o Przemienieniu,
A łódź gorączką pchnięta mego wiosła
W inne nas kraje ideału niosła...

W ITALJI.

W ITALJI.

I.

W połowie smętnéj życia mego drogi
W kwieciste Danta zabłądziłem progi.
Jakaś za niebem zdjęła mię tęsknota...
Z pęt się różanych wiew wyzwalał błogi,
Arno jak wstęga lśnił się modro-złota,
I w gór załamy w dal się mszących wszyty,
Ściegiem błyskawic dział ich aksamity.
Gorący szafir z wywróconéj czary
Lał fale światła w wonnych tchnień nektary,
A wież marmury w białym swym rozkwicie
W tym się złoconym pławiły błękicie.
Z pod złotopusza słonecznéj srężogi
Nieśmiertelniały jenjusze pół-bogi,
Pogodną dumą natchnionego czoła
Boskość z kamienia ciskając dokoła.
I z nieba blasków i z lic ich zapału
Wyczytywałeś święto ideału:
Dusza to Danta wśród takiego święta
Była raz pierwszy w miłość wniebowzięta,

W dzień uroczysty rozwiośniałej ziemi.
W ranek uśmiechnion uśmiechy takiemi...

II.

I mnie też była ziemia uśmiechniona,
Lecz raz ostatni, a świata uśmiechem
Niewinnym, rajskim jak w raju przed grzechem.
Uśmiechem takim zawsze była Ona,
Jako Beatrix znowu przemieniona!
O czarodziejko! aby zemną zostać
Czy mię porzucić, wzięłaś dawną postać?
Czemuż mi z tobą przypomniała tyle
Chwila powitań pożegnania chwilę?
Jak wznowić mogła w nastroju wzniosłości
Ostatnia miłość dźwięk pierwszej miłości,
I jakim cudem spieka życia letnia
Odbiła świeżość pierwiosnkową kwietnia?

III.

Tak — kwiat brzoskwini różowym namiotem
Nakrywał wzgórza, a niżej doliny
Żółtych irysów mieniły się złotem...
Ach! niezapomnę przenigdy godziny,
Gdy w dzień ten wiosny, gorący jak lato,

Spotkałem ciebie koło San Miniato,
Gdzie wieczną falą cyprysów zasłona
Na szczęścia obraz wiejąc tęsknie kona;
Lecz przez jéj krepę chwila ta spotkania
Zawieją blasków w pamięci się słania...
Chodzę upojon, na duchu olśniony,
I wewnątrz słyszę niby bicie w dzwony...
Nawet raz jąłem pisać *Vita Nuova*,
Lecz zdrój łez z ócz się puścił, mażąc słowa,
Głoski łamało ręki mojéj drżenie,
I łzy — nie ręka — kreśliły promienie
Na miejscu liter; bo gwiazdą na wieki
Obraz twój przylgnął do mojej powieki,
I w którą tylko stronę myśl się ruszy,
Jak gwiazda we łzie tak drży w mojéj duszy...
Oczom się zdałaś z promieni uwiana;
Kwiatek różowy, pomnę, w twego włosa
Kwitł jasnokręgu, jako widać z rana
Różyczki w chmurkach złocących niebiosa.
Ni wiew tak łódki zaokrągla żagle,
Ni fala mdlejąc tak lekko się wzdyma,
Jak rąbek dwojgiem twych pączków gdyś nagle
Dysząc stanęła przed memi oczyma,
Rozrumieniona biegiem po cmentarzu...
Stałaś na wzgórku, — a jam na ołtarzu
Widział już ciebie, i składając dłonie
Spocząłem w tobie jak duch w Boga łonie
Na wieki wieków, w chwili tej zachwytu

Wieczność na krańcach czując mego bytu.
Chwila ta zwierzchu była migiem, — na dnie
Wiecznością była, a gdy duch w nią wpadnie
Bez dna odgłosu jak głaz w bezdni ginie....
Świat nad twą głową sklepił się w świątynię.
By tło ci stworzyć słał się malowidłem;
Gaj się cyprysów zamienił w świeczniki,
W haft szmaragdowy bluszcz na bramie dziki;
Chmurki ku tobie leciały kadzidłem.
Wzgórza się w okrąg wiązały w równianki,
I już czekałem czy modréj firanki
Cherub nad tobą niepodniesie skrzydłem...

IV.

»— Zkąd idziesz?« rzekłem. Wzrok twój mówił:
[»— z nieba
Do dusz wzgardzonych.« »— Jak cię zwać po-
[trzeba?...«
A w tém jak Tobjasz uderzyłem czołem.
Bo wzrok twój nagle odrzekł mi: »— Aniołem!«

V.

Jak fala dąży wyrocznie do fali
Takeśmy przeczuć zlaniem się poznali.

I nim do ostréj dotarliśmy bramy,
Nad którą baszta omszała wyrasta,
Zkąd Michał Anioł bronił niegdyś miasta,
Jużeśmy czuli, że od lat się znamy...
Błysk nam wieczności dłuższy był niż wieki:
Czas blizki za nim zdał się tak daleki,
Jak lądu plamka niknąca z przed nawy;
Bo oceanu dal miał wzrok twój łzawy,
I w nieskończoność tajną jego siłą
Jak łódź od ziemi serce me odbiło.

VI.

Widząc cię w ścianach starego kościoła,
Anioły fresków poznały anioła:
Twarz ich przez wieków zapłonęła cienie,
Szerszém się zdało piór ich rozskrzydlenie,
I niby tłumnem do siostry postaci
Jako gołąbków zlatanie się braci.
O złotą stałaś oparta zaś ścianę,
Skrzydłami duchów wwiana w tło obrazu;
Marzyłaś długo, — a potém do razu
Z piór gęstwy wznosząc czoło zadumane,
I wiew niebieski wstrzymując na sobie:
»— Gdzieśmy?« spytałaś. Odparłem: »— Na grobie«.
»— Na grobie?« trwożna westchnęłaś, »ach! czemu
Myśl szczęścia pełną zwracasz mi ku niemu?

Choć blask słoneczny w tém oknie się ściera,
Jam zapomniała, że człowiek umiera!«

VII.

Chwila rozstania już szumiała głucha
Wiatrem w cyprysach, — a tyś mi do ucha:
»— Nie odchodź! zostań!« szeptała nieśmiało.
Wschodnie już niebo szafirem ciemniało,
A tyś mówiła! »— To nie zmierzchu ciemnie,
To cień chmur tylko... nie odchodź odemnie!...«

VIII.

O Juljo! luby wieszczów ideale!
W łez zachwycenia bożącym krysztale,
Obok jutrzenki, tak odlotna, drżąca,
Na białéj smudze dniejącego ranka
Nie stałaś w oczach Romea kochanka,
Wśród pocałunków wzajemnych tysiąca!...
Wam skąpan w rosie świtania skowronek,
A nam rozpływny w woniach brzasku dzwonek,
Tętniły: »— Późno!« wy zaś obie: »— Wcześnie!«
Rzeczywistości szeptałyście we śnie,
Niebem pół-senne, jak jedna tak druga:
»— To chmurka leci! — Gwiazda jaśniéj mruga!

— To nie skowronka pieśń, ale słowika
Przez ołzawione bzy do serca wnika!
— Jeszcze nie świta! — Nie ściemnia się jeszcze!«
»— Nie, nie, stój czasie! aż się z nią napieszczę!
Wołałem z lubym. bo takiéj pieszczoty
Nie zmierzy srebrny promień gwiazd, ni złoty
Dnia, bo nam trzeba do pieszczot bez końca
Zmierzchu bez nocy i świtu bez słońca!...«
. . . .

IX.

I odtąd miesiąc przebolałem długi
Aż mi się wreszcie zjawiła raz drugi,
Lecz i ostatni. By wymodlić chwilę
Objawu tego, modliłem się tyle,
Mówiąc »Ojcze nasz! dla innego syna
Przyjdź twe królestwo! dla mnie ta godzina!
Innym daj zbytek powszedniego chleba,
Mnie zaś tę jednę okruszynę nieba!...«

X.

I jak do Ojca tęsknicą skrzydlatą
Znów szliśmy w górę na szczyt San Miniato.
Nigdy nie spadła na łoże zachodu

Róż taka zaspa z rajskiego ogrodu.
Ni się złociło na obłokach żniwo
Łanów światłości pozłotą tak żywą.
A sierp księżyca z gwiazdą się przez kłosy
Zbóż rajskich bladą wysrebrzał leliwą.
Przyrumieniony i zwilgły od rosy.
We wzgórz rozłamie gładkie rzeki łono
Chłonęło z dołu chwałę nieskończoną.
I przez toń złotą łódź robiąca wiosły,
Jako jaskółka, którą skrzydła niosły,
Nie w dal, lecz w górę zdała się pomału
Wzbijać z poziomu w eter ideału.
I mnie też lotkość ogarnęła taka,
Żem się wyskrzydlił na wzór czółna-ptaka,
I oną mocą zawisł w jej spojrzeniu,
Jaką wiruje nikły pył w promieniu.
A wiry światów u ócz słońc swych wiszą...
Bezmiar ogromną nastroił się ciszą
Jak niema harfa — ku jej objawieniu...

XI.

Wówczas wyroczne wymówiła słowo,
Co jak to nowiu utrącone lice,
W pół przemienione w niebios tajemnicę,
Do ziemi tylko należy połową.
Ach! jakich jezior dość czyste zwierciadło,

By ciałem dźwięku słowo to w nie padło?
Gdzie szczyt uśnieżon tak niepokalanie,
I tak panieńsko rankiem zapłoniony,
By z wiecznéj bieli perlanéj korony
I zórz rumieńców uwiać skarbiec na nie?
Wiew, co motylom, tchnąc z kwiecia obszaru,
Nie zdmucha z gazy pyłku malowidła,
Gdzież jest tak lekki, by je wziąć na skrzydła,
Nie uroniwszy cząstki jego czaru?
Któryż kwiat z kwiatów dość wonno oddycha
Wpół stulonemi ustami kielicha,
Błękitu z nieba nabrał w siebie dosyć,
By ubóstwienia miód ten na dnie nosić?

XII.

Gdy je wyrzekła, w gasnącym zachodzie
Sprzezroczyściała jako cień na wodzie,
Alabastrowa stojąc i dziewicza
Jako westalka w jasnokręgu znicza;
A przez jéj postać w bledniejącém złocie,
Gwiazd mi się zdało przepromieniać krocie,
I tak się stała nawskróś prześwietloną,
Że Bóg był jawny za jéj lic zasłoną!...

XIII.

Wtedy ją widząc oczywiście boską,
Przejaśniającą już pogodę włoską,
Chciałem gdy dzwonek wieczorny zadzwoni
Na Anioł Pański, pomodlić się do niéj.
I przekonany, że on sam w nią wcielon,
Przypiąłem wotum róży do jéj skroni,
A na kos złoto zarzuciwszy welon,
Co gdy wkrąg warkocz i różę obiela,
Uwiał kształt rąbku Madon Rafaela,
Wiodłem ją w pustki tumu, do kaplicy
Jedynéj w lewo od rytych podwoi,
I posadziłem w gotyckiéj stolicy,
Co tam z marmuru tysiąc lat już stoi;
By duchy fresków barwnoskrzydłe, łzawe,
Jak do obrazu Najświętszéj Dziewicy
Składając dłonie mówiły jéj: *Ave!*
A najpiękniejszy pączki swéj liliji
Na mojéj lubéj jednośnieżnéj szyi
Klęcząc rozkwiecał tém zorzy dotknięciem.
Więc tak siedziała wkrąg obanielona
Na majestacie, w gęstwie skrzydeł, niby
Już rozpoczętém wzwiana wniebowzięciem.
A tu się raju otwierała strona,
I promień z łąki kolorowéj szyby
Niosąc do stóp jéj narcyzy i róże,
Z kwiatów świetelnych usłał jéj podnóże.

Co rość się dłużąc zdały i od ziemi
Postać jéj czoły podnosić kwietnemi.
Wówczas to dziwna napadła mię trwoga,
Że gdy się wszystkie te kwiaty rozświecą,
Wszystkie promienie do reszty rozkwiecą,
A jedna z blasków uwije się droga,
Toć nią i skrzydła anielskie ulecą,
Za niemi kwiaty powędrują świeże,
Aż zachód gasnąc lubą mi zabierze,
I ta najświeższa uleci do Boga!
Więc zachwycony i strwożon zarazem,
Jak przed cudownym ukląkłem obrazem,
I jąłem do niéj odmawiać pacierze...

XIV.

Ach! gdybym wieki przeżył niezapomnę,
Na porfirowym lubéj majestacie,
Gdy słońce zgasło, i tylko przytomne
Jak pszczółką złotą jedną iskrą małą,
Siadło w jéj włosach na róży szkarłacie,
I jéj nie śmiejąc, różę całowało...
I w rozklęczonym tak przed nią zachwycie
Dwoje nas było: ja i anioł ścienny,
Ja już zamierzchły, — on zawsze promienny:
Doczesne moje, wieczne jego życie
Wspólny tak zachwyt zestroił, że w chwili,

Co drżała iskra różę całująca,
By w tysiąc wieków przebłyśli z tysiąca,
Pełnią wieczności obadwaśmy żyli!...

XV.

A gdy już oknem drzew rosnące cienie
Wpełzły do wnętrza na tumu sklepienie,
Widna mi jeszcze w tym cieniów wylewie,
I zapatrzona w gwiazdeczkę na drzewie:
»— W szybie téj, rzekła, to cyprysów dwoje
Wprost w niebo godząc nigdy się na ziemi
Nie spotka... jeno węzłem między niemi
Gwiazdka, co weszła jak w grobu podwoje...
Czyż świata ogrom lśniłby w téj iskierce,
Gdyby w niéj jedno paliło się serce?...«
»— Stój! zawołałem, jedno? wszakci moje
Na czasy czasów, na wieczność wieczności
Gore, ćmi gwiazdy ogniem twéj miłości!...
Jedno?... toś chyba dotąd nie odgadła
Skrytych mych ogniów, choć twarz od nich bladła?
Jedno?... toś chyba nie dostrzegła drżenia,
Co mię przebiega jak wir znicestwienia,
Bo czuję niemoc u szczęścia zenitu
Być tak szczęśliwym, a nie stracić bytu!
Bo jak pelikan rozprułbym me łono,
By nieskończoność chwycić w pierś skończoną.

By krwią téj piersi na ziemi, na niebie,
Wypisać miljon razy: Kocham ciebie!...
Ono drzew dwoje w szumiącéj żałobie
Spotkać się, luba, powiadasz, nie zdoła?...
Lecz wiatr ich oto rozkołysał czoła,
Te niewstrzymanie kłonią się ku sobie:
Już we wzajemnym zwiały się kierunku...
A wiesz ta gwiazda?... to ślad pocałunku
Wypalonego na ciemnym błękicie...
Kiedyż więc, droga! na mém czole smętném
Usta twe także wyryją się piętnem
Gwiazdy, co w niebo zamieni mi życie?...«

XVI.

»— Milcz, milcz! przerwała szczęśliwa i trwożna;
Nie wiesz, że ślepa siła przeznaczenia
Życie nam w czyściec nie w niebo zamienia.
Nie wiesz, że ust mych dotknąć się niemożna?...
Słyszałeś zegar?... wyrocznej godziny,
Tętno przerywa nasze zrękowiny...
Próżno gwałtowna pali cię gorączka:
Bezsilną miłość najbardziej namiętna
Przeciwko strasznej mocy tego tętna...
Spójrz tam... złamana księżyca obrączka,
Ślubnych róż wianek zwiądł, — opada w Arno.
Chmura już w trumnę zamyka go czarną.

Ślad pocałunków — patrz — już gaśnie w górze,
Gwiazda się mroczy, kir ją gruby kryje...«
»— Więc, zawołałem, niech wszystko w naturze
Gaśnie, umiera, gdy dwoje nas żyje!
Niech róże więdną gdy nosisz mą różę!
Niech trumna staje, niech i gwiazdy gasną!
Wszak miłość moja tak wielka, że może
Wskrzesić z téj trumny oblubieńców łoże,
Jasnością swoją noc uczynić jasną!
Od pocałunków ognistéj wszechmocy
Słońc znowu krocie pozapalać w nocy...
I oto pierwsze na tobie zapalę!...«

XVII.

Rzekłem: i w mroku, w uniesienia szale,
Jak wulkan kiedy wszystkę w niebo zbierze
Moc pocałunków płomiennych w kraterze,
Rzutem ich lawy wybuchły me usta,
Oślep tą lawą do jéj ust przywrzałem...
W tém nagle błysło we wnętrzu ściemniałém,
Coś padło... w jaśni wraz stanęła pusta
Stolica, na niéj całusem od ściany
Kawałek fresku leżał oderwany,
I złotokostem na gliny okruchu
Lśniło się skrzydło, na rajskim zaś duchu
Piór nieparzystość widniała u ramion...

Blask trwał... grobowiec łuną tą obramion
Niby odewnątrz, cienie puszczał duże
Posągów swoich po przeciwnym murze;
A potém zwolna z po za jego węgła
Prawica lampę dzierżąca wysięgła,
I przyświecała sunącéj figurze...

XVIII.

Głos zaś surowy odezwał się do mnie:
»— Płacz, bij się w piersi, pokutuj w popiele!
Bo świętokradzko lubo nieprzytomnie
Chciałeś kochankę całować w kościele,
I ustaś kładł już na ustach dziewczęcia,
Tu przed cudownym pomnikiem Rozpięcia,
Co Gwalbert święty, by zbawił zbrodniarza;
Ujrzał dające sobie znak z ołtarza...
Więc duchy, które pięć set lat już lecą
Tędy pod penzlem Spinella z Arezzo,
Przed świętokradzcy śmiałością obrzydłą
Swojéj przeczystéj siostrze na ratunek:
»— Leć naprzód!« rzekły, — a twój pocałunek
Mógł tylko urwać aniołowi skrzydło!...«

XIX.

Gdy zaś te słowa w uszach mi dzwoniły.
Raptem poznałem dziada od mogiły.
Co w Polsce szeptał koronkę w lip cieniu
O pięciorakiém Pańskiém Przemienieniu...

XX.

Wtedy doń obu pełzając kolany:
»— Na cierń ten boski! wołałem. na rany!
Na cudotworność tego oto krzyża,
Zkąd Zbawca czoło ku zbrodniarzom zniża!
Niech skarze, błagam, ogrom mego grzechu.
Byle mi tylko niebrał jéj uśmiechu!
Ojcze! jak prawdą, że Bóg oto kona.
Jam gotów pościć, wdziać wór. włosiennicę.
Biczować ciało. krwawić sobie lice.
Powtórzyć nawet mękę Ixiona.
Sam wpleść się w koło, co się wiecznie toczy,.
Bylem za każdém okręceniem osi,
Gdy w łuk zgiętego obód mię podnosi,
Mógł spojrzeć na nią nim ból zaćmi oczy!
Niech wszelka radość z duszy méj opadnie.
Niech wiatr liść suchy samych wspomnień zwieje!
Niech cały w sobie wymrę, spustoszeję.
Jak biedna chata gdy mór w nią się wkradnie!

Lecz skrę ostatnią w jéj wygasłém kole,
Ostatnią zieleń nagich drzew w jemiole,
Przynajmniéj Ojcze! zostaw mi nadzieję!...
Nadzieję zostaw, że moją katuszą,
Rozpaczą takiéj klęczącéj pogoni,
Doścignąć celu kolana te muszą,
Musi pokutnik doczołgać się do niéj,
Aż ją nareszcie pochwyci w ramiona,
Obejmie niebo i od nieba skona,
Bo być tam żywcem śmiertelnik nie może:
Więc umrzeć w niebie daj mi Panie Boże!...«

XXI.

On zaś na łkanie moje i na skruchę:
»— Skoro się kajasz, odrzekł, miej otuchę,
Że cię pocieszy Ten, co teraz smuci,
Pokutnikowi uleciałą wróci!
Ruszaj więc synu! na strome pustkowie,
Gdzie Welin znika, gdzie szumi kaskada,
Wiecznéj jéj ciszy echo odpowiada,
I tobie głosem lubéj twéj odpowie.
Do pokutnika, kiedy się rozklęczy
Na skale, któréj dosiadł zamek stary,
Zstąpi kochanka z rosą barwnéj pary,
Przez most rzuconéj na wodospad tęczy.
Tam dziwy swemi cały świat ten boży.

By ci jéj postać rozpięknić się złoży:
Cyple zarania zdejmą djadem złoty,
By go w jéj włosów przepromienić sploty;
Do lic jéj chmurki z zorzanego wieńca
Róż najrosistszych dobiorą rumieńca,
A gwiazda Syrjus w jéj spojrzenia dali
Nieskończoności dalszy ciąg zapali...
I przeto szczęścia pewien już godziny
Z wiarą, nadzieją, pokutuj za winy,
Abyś miłości, pokutników śladem,
Wreszcie dostąpił, — tam — nad wodospadem!...«

Gdy starzec mówił na oblicze padłem,
Jak przed nadludzką wieszczbą i widziadłem,
A gdym łzy z twarzy i kurz otarł z czoła,
Sam już w ciemnościach klęczałem kościoła...

EPILOG.

EPILOG.

Sursum corda!

Owiewne chmurki na gór łysych szczycie!
Dokądże stadem wielkiém tak dążycie?
Waszan adziemskość i białość panięca
Jak krzyżmo Stwórcy czoło ich uświęca.
A cień wędrowny gdy się po nich słania,
Podobny tłumnym przelotom dumania.
Gdy w waszém runie cypel gór się grzebie,
Nie jak my w ziemi, lecz pogrzeban w niebie,
I ze szpar waszych, jak w pękniętym grobie,
Ma ciąg słonecznych zmartwychwstań na sobie...
Nieba pływaczki, co od zorzy w biegu
Pierś macie razem pełną róż i śniegu,
Czy kwiecia marzeń nosicie użątek
Z wiosny nadziei ku zimie pamiątek?
Czy na skrzydlatéj składacie pościeli
Sen gdy uleci lub sen nim się wcieli,
Ziemskiego szczęścia koniec czy początek?
A teraz, teraz, komuż to niesiecie
Na łąkach światła uzbierane kwiecie?
Pustelnikowi snać temu co czeka

Płoń róż i malin niesiecie z daleka,
Bo, widzę, wasze napowietrzne stado
Lecąc ku niemu zwisło nad kaskadą.
Tylko z was jedna z drużek zbiegła chóru
Na dziki wiszar z wezgłowia lazuru,
Drży na nim lekka, trwożna, zapłoniona,
I wstyd dziewiczy mgląc swych rąbków bielą:
»— Jam chmur panieństwo niosącą Nefelą,
Zda się nam szeptać, w uścisk Ixiona!«

A za ten uścisk mar, co w sobie skraca
Niebo i w duszę z kroćmi gwiazd je kładzie,
Patrz! już za karę z hukiem w téj kaskadzie
Ixionowe koło się obraca,
Bo w pian posmyczy, idącemu dołem
Cała się zdaje kręcącém się kołem.
Wraz bowiem przepaść od śmierci śmiertelniéj
Dnem piekła zajrzy w modre oczy rzece;
Więc ta rozpacznie w rozziew jéj się miece,
By w niebo uciec nim się przepiekielni.
Z bezdni w aniołów strąconych porywie
Niebiańskich wzlotów bunt podnosi dumnie,
Podobna wiecznéj powstania kolumnie
Na stu bałwanów rozwichrzonéj grzywie.
Prąd się zmartwychwstań nieśmiertelnie ściera
Z pierwszym w niéj prądem, przez który umiera;
I te dwa prądy swoją walką wściekłą

W jedno się straszne wód zlewają piekło;
A tam gdzie w odmęt rozszumiały chyży,
Gdzie najzawrotniéj w skałaah on się wirzy,
Na opętany grób ten, na to łoże
Rwącego piekła, na pian wrzących puchy,
Milcząca tęcza jako rajskie duchy
Uspokojenie zda się spuszczać boże,
I w barw swych wianek rozskrzydlona świeży,
Na wirze, grobie, piekle, cicho leży.
Świętéj miłości godło i zesłanka,
Sprzeczne pierścieniem zaręczyła pędy.
I z potępienia jak z różanéj grzędy
Rwie kwiat i zieleń nadziei do wianka.

Niknie, lecz w duszę strzeliła nadzieją...
Zmrok stał się, góry dokoła ciemnieją,
Gama barw cichnie w cienia wszechpowodzi,
Noc już ostatnia, wyroczna nadchodzi,
Noc przed Pańskiego świętem Przemienienia
Świeżo i wonno wśród gór się rozcienia.
Tajemnicami w jarach orosiała,
Jak gdyby rosa drżąc je ronić chciała,
A gwiazd też krople wieszczyły swém drżeniem,
Że wnet tajemnic kapną objawieniem...
Ku objawieniu cyplów pną się stromy,
Jak w mroku ramion wysterk nieruchomy
Z tłumu, co wielka oniemiła głusza:

Błagalnie sterczą, żadne się nie rusza,
Tylko przepaści pierś huczy wzdychaniem:
Kiedyż objawu pnąc się tak dostaniem?
Przerwisto z wiewy pierś ta w dole dysze:
Wyżej proroczą Bóg rozpostarł ciszę,
Od gwiazd do szczytów tak wskróś nastrojoną,
Że strun jej drgania w złotych buntach płoną.
Od wznioślejszego dzwonnej ciszy tonu
Krąg zuroczyściał bezmiernego dzwonu,
Co słońc krociami Bóg wewnątrz wyzłaca,
Zwierzchu zaś pieszcząc krągłość jego w dłoni.
Wieczną pieszczotą wiry sfer obraca,
Do dusz wszechświatem cud miłości dzwoni...

Dziś żywém sercem tętni On w bezmiarze,
Sercem stworzenia ludzkiemu *być* każe,
Każe wszechciszy na objaw, odświetną
Gędźbę sfer znucać w to śmiertelne tętno,
I wzajem wszystkim echom we wszechdzwonie
Odgłaszać serce, co drga w Ixionie.

Spiż starej baszty brzaznął już z północą,
W dal fale ciszy od brazgu dygocą...
Ixion powstał, trwożnie lampę schyla
Ku wieszczej czarze, co się w cieniu złoci:
Do ognistego podobny motyla

Blask zleciał, usiadł na liściach paproci.
O cuda! z liści sierocéj zieleni
Kwiat się wyślicznił, na ognistem skrzydle
Zwisł cały, spoczął, barwą się rumieni
Nieznaną w ziemskich błoni malowidle,
Barwą, przy któréj trzech rumieńców krasa
Zorzy, dziewicy i róży przygasa,
I jaką na nich wycałować może
W nich trzech się chyba zakochanie boże!

Ixion wpatrzon bezpamiętnie w dziwo,
Nie spostrzegł w głębi jak zamkowe progi
Zaczęły postać wyciemniać sędziwą,
Brodą i kurzem bielejącą drogi.
Szła posuwisto, — biesagi pątnicze
U ramion, w ręku długi kostur niosła,
Którym wpłynęło, by kierunkiem wiosła,
W światłokrąg lampy widmo tajemnicze...
I wraz od lampy do téj srebrnéj głowy
Starca przylgnęła mgława promienica,
I lśnił jak w rozkal ponik brylantowy
Łez na śnieg brody ciekący mu z lica...

W tém kij upuścił, wyciągnął ramiona,
I ze trzmiącemi nad czarą w zachwycie:
»— Boże! łkać począł, niech w pieśń Symeona

U stóp twych dziada rozpłynie się życie,
Gdy już śmiertelne oko to widziało
Jak słowo twoje kwiatem nam się stało!...
Patrz na cud synu! Bóg nam. Bóg przebacza!
Wyojczyźniona garść ziemi tułacza,
Garść matki naszéj kwiat cudu nam rodzi!
Oto pierwiosnek zakwitł zmartwychwstania,
W nim już odżycia wiosna się wyłania,
Z cudownym kwiatem Obiecana wschodzi!
Spiesz zemną, synu, spiesz na jéj spotkanie!
Weźmy tę czarę: kiedy barwa zorzy
Do barwy kwiatu paproci dokwitnie,
W dwóch się rumieńców pocałunek złoży,
Toć z pocałunku nieba Ona wstanie,
Tak z polską ziemią zwianego zachwytnie!...«

I wyszli z baszty obadwaj na skały;
Dziad stąpał przodem ze wzniesioną czarą;
W ciszy bez granic nad milczącą parą
Tylko mirjady gwiazd wzruszonych drżały,
Jakoby wszystko, co świeci w przyrodzie
Świąteczny udział brało w tym pochodzie.
A był to pochód skiby polskiéj ziemi,
Tak po królewsku uwieńczonéj cudem,
Słońc miljonowym prowadzonéj ludem. —
Wśród głuszy, — z hymny sfer tryumfalnemi,
Ze spromienioną na jéj nocne dziwo

Krociów pochodni chwałą migotliwą,
Zkąd jak dań światów skier też z nieba krocie
W jej się błędnego tronu lśniło złocie...

O Ziemio polska! nasza rodzicielko!
Tyś w onej chwili była świętą, wielką!
Acz niewolnica, gwiazd ognistą mową
Witana byłaś panią i królową!
Dziad ów stuletni był twoim kapłanem;
On w czarze bogów podnosił cię z wiarą;
I ofiarował przeczysta ofiaro,
Natchnioną, cudem rozkwitłą przed Panem!
Obca zaś rzesza przy twem podniesieniu
Gór stromych w ciszy kościelnej skupieniu,
Wkrąg rozklęczona w ciemności żałobie,
Szeptała pacierz nocnych szmerów tobie,
A tchnące mirrą dolin trybularze
Mgły kadzidłami dymiły ku czarze...

Otwórz mi usta i głos udźwięcz Panie!
Iżbym wyśpiewać potrafił zaranie,
Co się w tajnikach poczęło tej nocy.
Anieli twoi chyba i prorocy
W pieśń zajutrzeni harfy swe dostroją
Do widzeń takich, — nie ja gęśl tę moją:
Toć trza niebogiej promieni pomocy,

Kiedy się napną złocistemi struny,
W siność wąwozu wpadając z ukosa,
A lśniąco od nich rozrzewniona rosa
Otęczy słońca za cyplem zwiastuny...
By więc te zorze odbłysły w mych pieniach,
Daj jak na strunach zagrać na promieniach!

Dziad z Ixionem pięli się ku górze,
Aby na jutrznię stanąć obaj w chórze
Zogromionego pustyni kościoła,
Gdzie cyplisk w zaćmie jak filarów czoła
Wyolbrzymiały pod sklepieniem lśniącem
Złotomodrzynu skrawych żył tysiącem,
I szafirową kopułę zenitem
Wprost zawiesiły nad samotnym szczytem,
Który wzwyż stopni z siwych skał wyraża
Kształt prostokątny wielkiego ołtarza.
Stroniąc od innych ta wysokość dzika
Zdała się tęskno czekać ofiarnika,
Coby na krawędź odbył wschodowatą
Swe *introibo* z błagalną obiatą,
Z kwiatem na ołtarz Boga cudów, który
Wnet złotem trąci zakirzone góry,
Wieczną je ranka młodością odmłodzi,
Wnet świat utopi we światła powodzi,
I światło w radość rozzłoci natury!

Jak na ołtarzu starzec na tym szczycie
Postawił czarę na granitu płycie,
I twarzą w stronę obrócon świtania,
Daléj obrządek snuł ofiarowania.

O ziemio nasza! góry na swe czoła
Z rąk ofiarnika brały cię do Pana,
I już już wyżéj wzięta w dłoń anioła,
Byłaś przez szczytów tłum ofiarowana.
Jedna rosista pod nocy całunem,
Łzy i krwią zwilgła w świata wszechposusze,
Stanęłaś nowém Gedeona runem
Niebiańską odwilż tchnącém w zwiędłe dusze;
I niosłaś Stwórcy, o grudo ofiarna!
W czarnéj twéj piersi umajonéj cudem,
Wszech natchnień, czynów i zapałów ziarna,
Na jego *stań się!* zdolne stać się ludem;
A boski Lepiarz widząc, że twéj gliny
Łzami ochrzczonéj nie ima się plama,
Chciał z niéj lepszego ulepić Adama,
Do pierworodnéj niesklonnego winy!...

»— Prawdziwy Boże! z bóstw kłamanych czary,
Wołał ofiarnik, przyjm tę kwitłą ziemię,
W polskiéj téj skibie przyjm skib całę plemię
W kwiat cudotworny płodne jeszcze wiary!
Bo i my wszyscy, — hufców twych ostatki, —

W proch starci, stopą wdeptani twą Boże!
Wraz z umarłymi, w łono wspólnéj matki,
Pod twym lemieszem staliśmy się niby
Bez odpoczynku przewracane skiby,
Co pług na zasiew do wnętrzności porze!
Patrz! na wskróś mieczem boleści przebita
Matka ta kwitnie: cud z jéj ran wykwita,
Krew tryska w kwiatu ku tobie purpurze:
To stu pokoleń wiara i zapały
Tak ofiarniczo w kwiat ten sponsowiały,
Duch ziemi wieszczów znaocznił się w różę!
Przyjm więc tę skibę! strojna jak narzędzie
Gędźby, gdy każesz znowu śpiewać będzie;
Nieskończoności wszak pieśń gdy z jéj czary
Do bóstw skończonych dopłynęła uszu,
Wnet je rozwiała jako senne mary,
I twój złotostrun wnet pękł, Orfeuszu!
Boże! chcesz więcéj? wzbije się, zapali,
Skrzydlata ogniem, co z jéj dziejów pryska,
Do gwiazd wzlotnego podobna ogniska,
Błyśnie nadziei konstellacją w dali.
Toż świecić będzie i hetmanić zblizka,
Samopas, przodem, kędy stąpa rzesza, —
Płomień pustelnik, — jako słup Mojżesza.
Dziś prorokować kazałeś ofierze:
Więc prorokuje, — kwiat już na się bierze,
I w kwiecie barwę przywdziała zarania,
Całą roztula zorzę zmartwychwstania...

»Ojcze! twa łaska niech więc objaw ziści,
Co wprzód niż z nieba z wieszczych świta liści!
Przy tém to świtu skwieconego godle,
Zkąd jutro patrzy dzisiejszym rubinem,
Zmiłuj się! — z całą naturą cię modlę, —
Nad biedną matką i tym oto synem!
I on na barki, gdy nam burzą Troję,
Wziął rodzicielkę na wzór Eneasza,
I tak się wszędzie tułali oboje,
On i dźwigana przezeń matka nasza!
Chociaż niewoli wieko na niéj legło,
Wieko potopu, co ją kryje światu,
Nosił jedyną gaść jéj niepodległą,
Bezpotopową jak szczyt Araratu!
A była iście krzyżowa to droga
Z gwarem: »Ukrzyżuj!« i z Golgotą w dali...
Na garść swéj matki ściganą przez wroga
Właśni synowie, — ród Kaima, — plwali;
Boć dawno polska niepodległa dusza
Od tych Kaimcan pierzchła do téj bryły:
Sam trup ich został, i mściwy a zgniły
Na własną duszę plwaniem się tam rusza.
Lecz tu gałązka wystrzela nadziei,
Cud kwiatem z jéj się wypłomienia rąbka:
Więc nad gałązką Zesłanka z kolei
Niech zabieleje jak arki gołąbka!
Dla śmiertelnego widoma już oka,
Wśród gwiazd jéj piękna bledniejących drużek,

Jak ranny promyk niech zstąpi z wysoka
Na skiby polskiéj kwitnący podnóżek!...«

Od piór te modły lotniejsze i letsze
Snać się wzbijając wzruszyły powietrze.
Lub je skrzydłami wędrowni anieli
Rozkołysali gdy z niemi lecieli.
Bo wiew słyszalny ledwo jak westchnienie
Wraz jął się spuszczać na bezbrzeżną ciszę,
Jak niewidoma ręka na klawisze,
I strun powietrznych zbierać w akord drżenie.
I z głuchej gamy niewidoméj ręki
Coraz okwitsze wytryskały dźwięki.
Coraz wyraźniej powiewów się mowa
Wiązała w nutę jak głos ludzki w słowa:
I oto naraz od dołu do góry,
Z gęstw jak gędziebne rozbrzmiałych narzędzie,
Z gór, skał, wód, jarów i wiszarów, — wszędzie
Za głosem dziada litanje natury,
Jak gdyby wszystko: »Zmiłuj się!« nuciło,
Buchnęły dwoma ogromnemi chóry:
Jeden chór śpiewał: »Panie, wróć mu miłą!«
Drugi zaś tłumny, rzewny jak wzdychanie,
Gdy w zmierzchłéj głębi gockich far tysiące
Ludu niewidząc słyszysz wzdychające:
»Wróć im, powtarzał, wróć ojczyznę, Panie!«
I w te dwa wielkie błagalne chórały

Krąg ziemski niby śpiewnie rozskrzydlony,
Wzlatującemi ze wszech rzeczy tony,
Jako piór krocmi, zdał się wzbijać cały.
»Wróć mu kochankę!« ztąd jak jedno w górze
Skrzydło modlitwy szeleściało długie;
»Wróć im ojczyznę!« niby skrzydło drugie
Szumiało ztamtąd w niewymownym wtórze;
I tak naprzemian ono skrzydeł dwoje
W zamknięte nieba trącało podwoje,
By przed potrójną otwarły się zgubą,
Wracając zorzę, ojczyznę i lubą...

Aż wreszcie niebo w wyrocznéj przedchwili
Perłomacicznie tak wraz zabielało,
Jak gdyby roje przejrzystych motyli
Skłon jego wstęgą obrzeżyły białą,
I wciąż ją lecąc szerzyły ku górze;
A w ślad za rojem motylich mamideł
Tęskne kochanki zerwały się róże,
Cały z miłości łan ich dostał skrzydeł,
Leciał dokonać róż wniebowstąpienia:
I Bóg rozpinał oświtność rumianą,
Namiot prorokom w tę noc Przemienienia,
By na Taborze wiekować gdy staną...

Im bowiem tylko widny świt nad świty
Tak spurpurzony szczytnie, tak rozbity

Nad słońc niewzeszłych dotychczas otchłanią.
I płaszcz królewski rzucający na nią.
Więc duch mój także, gdy po lutni sunie
Jako po morza widnokrężnéj strunie,
Dal widzi drugą, co się za nią chowa;
Lecz olśnion blaskiem zórz tych rannych wszędzie
Po fali widzeń rozsieczonym, niewie
Czy owa dali zastrunna połowa
Świta na jawie albo tylko w śpiewie,
Czy świt ten pieśni i na niebie będzie?
Czy to pieśń moja, — lub proroka słowa?

Lecz jakiż wyraz rozświeży się w imie
Własne rumieńcom zorzy téj i kwiatu,
Gdy w napowietrznym spotkały się rymie,
A z rymu cud się wyrumienił światu?
Boś z rymu Polsko! z natchnieniaś poczęta,
Improwizacjo ty boska i święta!
Ztąd drugi żywot jaśniejszy i szerszy,
Jakim wylejesz z tych katakumb cieśni
Nakształt zwycięzkiéj ust miljonów pieśni.
Tak jednorzutnie z grobu się wywierszy
Jak hymn, co mkłemi strofy przez mórz ciszę
Skrolite zorzy lub miesąca mrowie
Cały od razu, choć słowo po słowie,
Na fal źwierciedle migotliwie pisze...

Więc rój motyli gnany róż obławą
Perlany tajał przezroczyście, łzawo,
Aż perłą, rosą, łzą co z oczu znika,
W dźwięk stopniał, dźwiękiem przedniewał ze
[skały,
I wyżyn echa już tylko słyszały
Brzask przesrebrzony w dzwonek pustelnika...
»Zdrowaś!« anioła głos w nim tętnił ranny,
A na to hasło rozdwojone chóry,
Co suplikacje śpiewały natury,
Jako dwie dłonie w ogrom się hozanny
Zachwytnie zbiegły, — i jedna witalna
Pieśń orosiała, jutrzenna, kryształna,
Z wtórem zbudzonych barw, par, wiewów, woni,
»Zdrowaś!« strzeliła z nad złożonych dłoni.
Jak niegdyś w Polsce, kiedy przed kościołem,
Nad trupią głową wypadłą z mogiły,
Promiennie lica lubéj się mieniły,
Wszystko nuciło »Zdrowaś!« za aniołem.
A pieśń wciąż rosła, ton jéj się natężał,
Wzbijał, rozdalał i rozwidnokrężał,
Póki widzialnych niebios one głosy
Wskróś niepodwiały innemi niebiosy
Pieśniolitemi, gdzie się zdał w przezroczu
Rumieniec śpiewać, śpiew być czarem oczu,
Dźwięki i zorze skochały się razem,
Obraz stał gędźbą a gędźba obrazem...

W tém na niebiosach tak zdwojonych w górze,
Na ich harmonji i na ich purpurze,
Oto widnieje niby przetaina
W stworzennéj glinie, w któréj ramię boże
Planet i raju odsłania rozdroże,
Gdzie wszech ciał kraniec a duch się poczyna.
Tam ziemskich wschodów i zachodów brzaski
Z wiekuistemi zlewają się blaski;
Świt poduchowion w bezcielesność złotą,
Pozbył ziemskiego żagwi luminarza,
Stał się świecącą za cudem tęsknotą:
Wymierzchający szczyt, co nią złocieje,
Już w znicz miłości rozzłaca nadzieję,
Już się dla lubéj zniczem przeołtarza...

Tam na tle jawy z ducha pół uwianéj,
Zarumienioném światłem rozkochanéj,
Przy któréj w głębi jakoby na straży
Gwiazda się Syrjus brylantowo żarzy,
Jak wyczyn piękna najdenniejszéj treści,
Wraz kształt się pocznie wycudniać niewieści...
Na idealném zazłoceniu zorzy
Znać, że nie zorza, lecz sam Bóg go tworzy,
Jak lepił niegdyś przy natury śpiewie
Ciało poczętéj w twórczéj myśli Ewie,
A tłum wszech istot wyglądał w zachwycie,
Przed arcydziełem z Adamowéj kości,

Aż Lepiarz westchnie do własnéj piękności,
I wnet posągu wdzięki się poruszą,
Westchnienie boże rozciepli się w życie,
Będzie kobiety nieśmiertelną duszą...

I świat znów teraz jak ongi za młodu
Zachwycon cudem bożego porodu:
Zachwyt zdjął blaskiem ciemne cyplów twarze,
Jak tłumu świadków, co przez mgłę przeziera,
Rozbrylantował rosę w każdym jarze
W zdrój łez zachwytnych: każda jéj kropelka
Drży z rozczulenia, migotna i wielka
Wkroploną zorzą — jak niebieska sfera;
Zachwytnie patrzą tam w strzępie zamroczy
Oczy gwiazd, mokre tu narcyzów oczy;
Świat w cud się wczuwa: czują i kamienie
Zachwytne w sobie źródeł otajenie;
Powietrzna krągłość wisząc u błękitu
W olbrzymią łzę się rozrzewnia zachwytu...

Chwilo powrotu, wszechnajwyższa chwilo!
Darmo się usta i struny me silą
Orzec, wylutnić, wymiłować ciebie,
Zamknąć cię w dźwięki i śmiertelne słowo,
Objąć słońc pełnię nowiów tych połową,
Zniżyć na ziemię co widać w twém niebie,

Gdy na szczyt góry złotych chmurek śladem
Przeanielona spuszcza się Zesłanka,
Staje pieśniana po nad wodospadem.
Ojczyzna razem i razem kochanka:
Wiewy miłości i swobody ciepłe
Tchną zaś wiosenno z fałdów jéj zawicia.
Zielona lasów faluje firanka,
I chciwie społem dech chwytają życia
Piersi niewolą, niwy chłodem skrzepłe!

A dziad wzniósł ręce, padłszy na kolana
Łka: »— Polsko, Polsko, Polsko ukochana!
Piękności zawsze dawna, zawsze nowa!
Prócz słowa: »Polsko!« nieznajduję słowa!
Śpiew się cherubów i miód méj pasieki
Na jego słodycz składały przez wieki,
I całość czucia chcąc w dźwięk jego spowić,
Trzeba wieczności, aby je wysłowić!
A otoś sama za twojém imieniem
Jak kwiat za wonią, słońce za promieniem,
Widna, przytomna, żywa, wyniebiała,
Jak cała w sercu tak już w oczach cała!
Ach! by takiego dosięgnąć widzenia
Jedne po drugich żądne pokolenia,
Jak śmiałe łodzie na huczące wały
Na łez i krwi swéj powódź się wspinały;
A tu wnet mknąca otchłań je głęboka

Chłonęła z wiecznem sieroctwem ich oka;
Lecz gwiazda wiary znów na grzbiet powodzi:
»— Płyń, patrz, giń!« dalszéj powtarzała łodzi;
A tak cudowna gwiazdy onéj siła,
Że choć łódź każda, co żagiel rospięła,
Ginęła nucąc: »Polska niezginęła!«
Toć do widzenia ostatnia dobiła,
I ja z tym synem ostatniéj sternicy,
Tulim już Polskę w śmiertelnéj źrenicy!«

Lecz któż opisze radość Ixiona
Gdy dysząc woła: »— To ona, to ona!
Od Przemienienia Pańskiego promienna,
Moja jedyna, moja Bezimienna,
Po raz ostatni znowu przemieniona!
Więc prawdą były one słowa wieszcze:
»— Ta, którąś stracił, niezginęła jeszcze!«
Więc mi straconą wracasz wielki Boże,
Na niebosiężnym téj skały Taborze!
Ot tu przedemną u nieba podwoi
Ona jak w domu na mogile stoi!
Po tylu latach jak gdyby przed chwilką
Ach! to ta sama!... wypiękniała tylko!
Wiew nieśmiertelny z włosów jéj pierścieni
Polskiego bluszczu nie zdmuchnął przepaski,
Tchnął jeno, siejąc złotemi ich blaski,
W różę florencką niezwiędłość czerwieni...

Lecz nas jak wtedy żadna już nie dzieli
Znikomych gęśli struna pękająca;
Skrzydeł nie wcisną między nas anieli,
By oblatały od ust mych gorąca...
Już Ixiona i jego Nefeli
Los, ludzie, bogi, piekła nie rozdwoją...
O moja droga! tyś na wieki moją!...
Nuż pieśń zwycięzną, pieśń mą pokładzinną,
Hymn dziękczynienia — ja wieszcz — chcę za-
[śpiewać...
Dwie lutnie pękły: — dajcie lutnię inną.!.
Niebo mam w duszy... światłem, niebem całém
Jak ten błękitny widnokrąg wezbrałem
Po same brzegi, i muszę wylewać!...
Lecz lutni niema... a tu stoją chóry,
Milczą i tęsknią pieśnianą tęsknotą...
Więc dam im hasło, chwycę czarę złotą,
Wzniosę ją, stanę jako mistrz natury,
I znów natchniona polskiéj ziemi gruda
Po cudach kwiatu wyda pieśni cuda!
I pieśń ta nowa, wielka, nieskończona,
Do ramion moich jak świata ramiona
Przylgnie, przyrośnie i wszechwęzłem zbliska
Tu — na mém sercu — kochankę uściska!...
Hej! ziemio śpiewaj!...«

A na to zaklęcie
Ziemia już śpiewa... rozśpiewaną czarę
Oburącz porwał, wzrok topi w odmęcie,
Wstąpił jak w obłok w wodospadu parę:
Chce w znalezionéj skoczyć wprost objęcie...
Lecz dziad go nagle w skoku tym zatrzyma,
I z łez pełnemi krzyknie nań oczyma:
»— Stój! czekaj! ufaj!... Już przez skał krawędzie
Zniża się ku nam... oto na kaskadzie
Tęcza się mostem pod jéj stopy kładzie:
Wnijdzie na tęczę, — i wkrótce tu będzie!...«

W dzień Przemienienia Pańskiego 1888,
W willi hrabiów Conestabile della Staffa pod Perużem.

KONIEC.